

# B I E S I A D A

P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E  
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA NOWY-ŚWIAT 50, TEL. 291-60

WARSZAWA 2 LISTOPADA 1924 ROK I NR 3.

## N A S Z E S P R A W Y

### GRANICE POLSKI NA ZACHODZIE.

Granice państw kształtują się pod wpływem najrozmaitszych, przygodnych nieraz czynników, zasadniczą jednak linię orientacyjną przy ustalaniu granic w traktatach pokojowych wytwarzają zazwyczaj względy etnograficzne, dalej zaś historyczne, ekonomiczne i geograficzne. Osobną zupełnie kategorię zjawisk w tej dziedzinie współżycia narodów i społeczeństw spotykamy w dziejach państw, opanowanych żądzą podboju. Tendencje zaborcze podszyte są wprawdzie zwykle argumentami natury bardzo nieraz na pozór humanitarnej,—ujawniają się jednak zazwyczaj w formie tak brutalnej, że złudzić nie mogą nikogo. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że narody nawskroś zaborcze, np. Niemcy i Rosjanie, nie porzucają bynajmniej swych apetytów w kierunku wchłaniania obcych ludów nawet po wielkich katastrofach wojennych i po zupełnym przekształceniu swego ustroju wewnętrznego. W życiu narodów zmienia się niekiedy forma, treść pozostaje zazwyczaj ta sama.

Traktat wersalski z r. 1919, który po 125 - letniej niewoli powołał do nowego życia Rzeczpospolitą Polską i wytworzył w Europie środkowo-wschodniej całą szereg nowych tworów państwowych,—przy wykreślaniu nowych granic starał się opierać całkowicie na argumentach pierwszej kategorii, a więc etnograficznych, historycznych, ekonomicznych i geograficznych. Otrzymała zatem Francja Alzację i Lotaryngję z racji swych praw historycznych. Otrzymała z tej samej racji Czechosłowacja pełne swoje granice historyczne na zachodzie i północy, choć naruszona została przez to zasada etnograficzna wobec włączenia do nowego państwa dużego zwartego terytorjum niemieckiego i blisko 4-ch milionów głów niemieckich.

Również wbrew zasadzie etnograficznej włączono spore terytorja niemieckie (w Tyrolu środkowym) do Włoch, zaś węgierskie (na lewym brzegu Dunaju, poniżej Bratisławy) do Czechosłowacji.

Mniej łaskawie obszedł się, jak wiadomo, kongres wersalski z aspiracjami polskimi. Nie uwzględniono tutaj w pełnej mierze ani argumentów historycznych, ani nawet etnograficznych. Okrojono zatem na zachodzie ukształtowaną od kilkuset lat granicę Wielkopolski i Pomorza, odcinając Babimost, Międzyrzecz, Skwierzynę, Piłę, Złotów, Człuchów, jako przeważnie już zniemczone. Nie dano dalej Polsce wprost niezbędnego jej do życia Gdańska, poświęcając najżywotniejsze interesy ekonomiczne rozległego 27-miljonowego kraju dla zabezpieczenia interesów narodowych 200-tysięcznej garści Niemców gdańskich. Nie przyznano wreszcie Polsce całego Śląska Opolskiego, etnograficznie należącego najzupełniej do ścisłego terytorjum ludności polskiej i po ostatecznym podziale kraju znacznie większą jego część przyłączono do Niemiec, kierując się tym razem względami już nie etnograficznymi, ale ekonomicznymi, w nadziei pozyskania w Niemczech dobrego płatnika zobowiązań wojennych, co zresztą—jak wiadomo—okazało się w skutkach tylko niebezpiecznym złudzeniem. Podobnie postąpiono i z Mazowszem Pruskim, krajem—pomimo zażartej akcji germanizacyjnej w ciągu XIX-go i XX-go wieku—i dziś jeszcze w swej większości etnograficznie polskim. Przeprowadzona tu tragifarsa plebiscytowa nie mogła oczywiście wydać innych rezultatów, jak te, które przyniosła... pod pałkami pruskimi.

W rezultacie zatem nowe ukształtowanie granicy zachodniej nie zaspokoilo zrozumiałych zupełnie

nadziei polskich. Przyznano nam bowiem tylko terytorja bezspornie i bezsprzecznie polskie. Spis ludności z r. 1921 wykazał w wojew. poznańskim 825 proc., a w wojew. pomorskim 80,4 proc. ludności polskiej. Niemcy nie tworzą więc w żadnym z tych województw nawet piątej części całego zaludnienia. Podkreślić należy przytem, że w najdalej ku północy wysuniętych powiatach napływowi kupcy i koloniści niemieccy tworzą mniejszy jeszcze odsetek: w pow. puckim jest ich tylko 12,3 proc., w wejherowskim zaś zaledwie 9,6 proc.

Pomimo wskazanych powyżej niedociągnięć traktatu wersalskiego, Polacy z całą lojalnością względem zobowiązań międzynarodowych nie poruszali dotychczas sprawy granicy zachodniej, tak dalece dla nich niekorzystnej, a bynajmniej nie odpowiadającej wyznaczonej nawet w niemieckich atlasach i mapach granicy etnograficznej i językowej między narodem polskim a niemieckim. Dziś sprawę rewizji traktatu wersalskiego celem „poprawienia“ granicy polsko-niemieckiej wysuwać zaczynają Niemcy, występując z pretensjami o zwrot części Pomorza oraz zagłębia węglowego śląskiego i próbując urabiać w tym kierunku opinię europejską. W tych warunkach stać się może niebawem aktualną i kwestja tych właśnie prowincyj etnograficznie najzupełniej polskich, jak Śląsk Opolski i Mazowsze Pruskie, które tylko skutkiem przyczyn ubocznych pozostały po traktacie z r. 1919 przy—Niemcach.

Skutkiem pozostawienia w obrębie Rzeszy Niemieckiej całego niemal Śląska, który wrzyna się między Polskę a Czechosłowację głęboko sięgającym półwyspem, i skutkiem niedogodnej enklawy Prus Wschodnich na północy, granica państwowa polsko-niemiecka jest znacznie dłuższa nawet od granicy polsko-rosyjskiej na wschodzie Rzeczypospolitej, wynosi bowiem ogółem 1862 km. (z Rosją 1412 km.). Na główną granicę zachodnią od ujścia Piaśnicy do Bałtyku po okolice Bogumina na południu przypada 1173 km., na granicę zaś z Prusami Wschodnimi 689 km.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach układ naszych spraw granicznych na zachodzie. Długa linja graniczna z Czechosłowacją, biegnąca przeważnie grzbietem Karpat, obejmuje Polskę od południa na przestrzeni 810 km. Dalej idzie — przeważnie linjami Czeremoszu i Dniestru—granica z Rumunją, której długość wynosi 380 km. Pod Okopami Świętej Trójcy, przy ujściu Zbrucza do Dniestru, w odległości 20 zaledwie kilometrów od Kamieńca Podolskiego, zaczyna się nasza granica z Rosją. Na ukształtowanie tej linji granicznej przez traktat ryski w r. 1921 wpłynęły inne zupełnie czynniki, niż na granicę zachodnią, w pierwszym zaś rzędzie wola sejmowych wybrańców narodu. Wyjaśnienie przyczyn i skutków takiego a nie innego ukształtowania granicy na tym odcinku wschodnim zasługuje na przedstawienie osobne.

E. MALISZEWSKI.

## DOOKOŁA NOWEJ POLSKI.

### II.

W poprzednim artykule podkreślaliśmy znaczenie, jakie dla każdego kraju ma tradycja jego pierwszych założycieli.—Zdobyczość, wytrwałość i energia cechująca dziś amerykan, są niewątpliwie w dużej mierze zasługą pierwszych pionierów ziemi amerykańskiej, którzy te, nie zaś inne wzory swoim następcom przekazali.—Dla jutrzejszej Polski będzie sprawą pierwszorzędnej wagi, w jaki sposób i na jakich przykładach zostaną zorganizowane nasze urządzenia domowe i społeczne dziś, w okresie powstawania Nowej Polski.

Jedną ze spraw dziś najbardziej obolałych jest niewątpliwie zagadnienie mieszkaniowe. Gdzie mieszkać? Jak mieszkać? A przede wszystkim:—Mieszkać!...—Jest to troska a nieraz i tragiedja przeciętnej rodziny w Polsce.

Są nieszczęśliwcy, którzy nie doszli i nie dojdą jeszcze tak prędko nawet do wynajęcia własnego mieszkania od gospodarza; tułają się po osławionych

„pokojach przy rodzinie“, gdzie owa rodzina przysłowiowo obdziera ich ze skóry i nie pozwala nawet wołać, że boli! Są szczęśliwsi, którzy mieszkanie sobie zdobyli i godzą się na wszystkie jego braki ze szczęścia, że wreszcie mają dach i kąt. I są wreszcie uprzywilejowani, którzy po przebyciu siedmiorakich boleści magistracko-podatkowych i strajkowo-budowlanych, zamieszkują nareszcie we własnym, świeżo dźwigniętym domu.

Pobudować dom! Jest to jak na dzisiejsze czasy i warunki polskie, wysiłek dla przeciętnego inteligenta zarobkującego wprost bohaterski. Nie zmniejszają go ułatwienia w podatkach i spłatach, jakie rząd częściowo kolonjom budowlanym wyświadcza. Czegoż się nie poświęca, w czymże się sobie nie odmawia! Każdy kawałek muru dźwiga się kosztem codziennej, twardej ofiary biedującego obywatela polskiego, znoszącego to ze stoicyzmem, byle ów własny dom nareszcie był. Gniazdo, które jemu, powojennemu tułaczowi świata, ma zapewnić wypoczynek, estetykę?

wygodę, w innym, wynajętym mieszkaniu nieosiągalne.

I oto dlatego należy sobie uważnie przemyśleć fakt, że okres dzisiejszy jest okresem powstawania współczesnego domu mieszkalnego w Nowej Polsce. I że najwyższycy, aby się zajęli o nas w prowadzeniu celowo, wygodnie, estetycznie i kulturalnie pomyślanego typu polskiego domu w mieście.

Problemat budowlany, jeżeli idzie nie o dochodową kamienicę tylko o jedno lub dwumieszkańowy dom prywatny, ma u nas cierń dwojaki. Po pierwsze — jest niepopularny. Po drugie — nie uwzględnia dostatecznie: a) potrzeb istotnych t. j. w y g o d y m i e s z k a ń c ó w, b) estetyki obiektywnej, c) poziomu współczesnych urządzeń kulturalnych i technicznych.

Jeżeli otworzymy jakikolwiek tygodnik czy miesięcznik amerykański, jedną z najpopularniejszych reklam w tekście i rycinie będzie reklama mieszkaniowa. — Czy budujesz już sobie własny dom?... — Czy pomyślałeś już o przyszłym gniazdku dla twojej dziewczyny? — Jak, odkładając 5 dolarów miesięcznie, możesz stać się właścicielem domu? — Ten śliczny ogród będzie otaczał werandę, na której bezpiecznie i zdrowo będą się bawić twoje dzieci! — Czekamy na telefon od ciebie w naszym nowym biurze ulgowej sprzedaży parceli pod twój przyszły dom!... I tak dalej, i dalej, i bez końca — w każdym tygodniku, w każdym czasopiśmie, w każdym dzienniku, wszędzie, gdziekolwiek oko ludzkie paść może. Amerykańska prasa sugestjonuje obywatela. Wmawia mu na każdym kroku, że w kupieniu własnego domu, „proper-



„Każdy szofer po jakimś czasie może zostać właścicielem takiego domu“. (Reklama amerykańska na szkołę szoferów).

ty“, jak mówią nasi emigranci, leży jego los — szczęście rodzinne, fortuna dzieci, spokojna starość. Oczywiście, nie prasa jako taka postawiła to sobie za zadanie, tylko agencje i przedsiębiorstwa budowlane, które jednak w zupełności osiągnęły cel. U nas własny dom — to koniec niejako kariery, jej uwieńczenie. „Kamienicznik“ wybudował dom i spoczął na laurach. (No! powiedzmy!) Tam — przeciwnie. Amerykanin zaczyna karierę od nabycia własności z pierwszych paruset dolarów, idących na zaliczkę. Przenosi się do owego własnego „home“ — i dopiero wtedy zaczyna robić pieniądze bodaj z konieczności, bo ma przed



Salonik amerykański wyłożony linoleum.

Za fotelem —

typowa lampa stojąca.

sobą długoletnie spłaty, „morgęcze“ (mortgęge) i inne związane z domem zobowiązania. Ale już—mieszka. Wyścieła sobie mieszkanie od skraju do skraju linoleum w ślicznym gatunku i miłych, dywanowych barwach, kładzie zato w saloniku nieodwołalny nawet w najskromniejszym mieszkaniu dywan, kupuje stojącą lampę od podłogi z narzuconym abażurem, piejącą najpopularniejsze „kawalki“ koncertową victrolę, parę wygodnych, półbiegunowych foteli „kolebaczy“—bardzo ładny polski wyraz przechowany na emigracji—zaopatruje bardzo solidnie kuchnię urządzoną jako pokój ze stołem do gotowania i szafami oraz spizarniami w ścianie—dużo pobieżniej mebluje olbrzymiem łóżkiem i paroma krzeselkami sypialne pokoje—wyrzuca wszelkie paki, kosze, graty i wszystko

absolutnie, co tak ohydnie zaśmieca mieszkania u nas, do widnej i suchej suteryny, gdzie ma osobne na to miejsce—tamże urządza pralnię z doskonałym zlewnem i przyrządami, oszczędzającemi jego żonie i córkom pracy przy praniu—tamże nieraz łazienkę, której będzie używał codziennie, a w lecie parę razy dziennie — zdobywa elektryczny odkurzacz i całą serję szczotek do gospodarstwa—zasadza przed werendą drzewa i kwiaty koniecznie!...—i nareszcie jest szczęśliwy: mimo wiszące nad głową spłaty, posiadał wreszcie marzenie każdego amerykańczyka: ma home“.

Własny, wyłączny, wygodnie urządzone dom!...

Jakże się przedstawia to własne „home“ u nas?...

M. H. SZPYRKÓWNA.

## Z P I Ś M I E N N I C T W A

### O JĘZYKU SIENKIEWICZA.

Jakże piękny jest język Sienkiewicza! Jak harmonijny, wdzięczny a zarazem wyrazisty i dobitny.

Rzadko które utwory czyta się tak łatwo i gładko, jak dzieła Sienkiewicza.

Czaruja nas i nęca te słowa wdziękiem i bogactwem. A zarazem przyjmujemy je, jako coś tak bardzo naszego, coś prostego i swojskiego. Istotnie tak jest: są to rzeczy bardzo swojskie i mimo wszystko, nader proste.

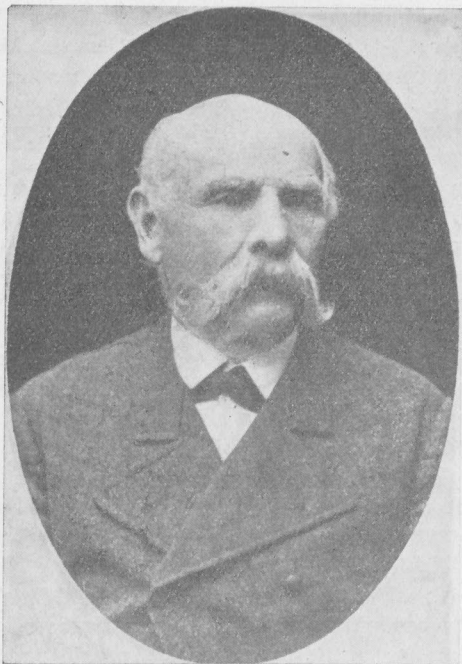
Nadzwyczaj szeroką popularność swą zawdzięcza Sienkiewicz w dużej mierze zaletom języka. Trafnie zauważono, że prawie niema Polaka, umiającego czytać, któryby nie czytał dzieł jego. Czyta go z rozkoszą chłop, gdy wróci wieczorem po znoju dnia całego lub gdy odpoczywa w niedzielę. Chłonie go do późna w noc robotnik, nie bacząc, że jutro rano musi się zerwać do pracy. Zaczytuje się w nim służąca, stróż, dorożkarz i szwaczka tak samo, jak inteligent przeciętny, jak pisarz czy uczonec. Wszak niemożliwa byłaby taka popularność, gdyby nie szczególne zalety języka, któremi się odznaczają dzieła tego wielkiego artysty.

Rzeczą tedy ciekawą i pouczającą byłoby zastanowić się bliżej i nieco szczegółowiej, na czem mianowicie zalety te polegają, wykryć proste tajemnice tej sztuki mistrzowskiej. Pragniemy to właśnie tutaj pobieżnie uczynić.

Nie widzimy ku temu innej drogi właściwej, jeno rozważyć na przykładach z dzieł jego, jak posługiwał się polskiem tworzywem językowym, jak go stosował i przetwarzał. Dopiero rozbiór taki pozwoli wnikać w proste tajemnice jego świetnej techniki pisarskiej. Dopiero rozbiór taki niejednego nas nauczy.



Pani Henrykowa Sienkiewiczowa u siebie w Obłęgorku.



## R O D Z I C E H E N R Y K A S I E N K I E W I C Z A .

Zgromadźmy tedy ów materiał i uszeregujmy w pewne grupy, które nam przegląd ułatwią. (Przykłady czerpiemy głównie z „Ogniem i Mieczem”).

A więc naprzód—przykłady na słowo czyli czasownik u naszego mistrza języka:

W chorągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował. Tych, którzy ten lud schłopić chcieli. Na żółtawą twarz wystąpiły mu rumieńce, a oczy płomieniały.

Hałakujcie! hałakujcie! będą później wilcy nad waszem ścierwem hałakowali. Nie będzie nam więcej, psubrat, burłajował. Całe nam wojsko zaskrzetuszczy.

Rozbić go tak szalonym napadem..., wyłowić, wyścinać, wywieszać.

Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz..... Milczałbyś lepiej.

Pan Zagłoba szalał; rzucił się w największy tłum, jak lwica, której zabrano lwięta; rzeził, chrapał, ciał, mordował—deptał!

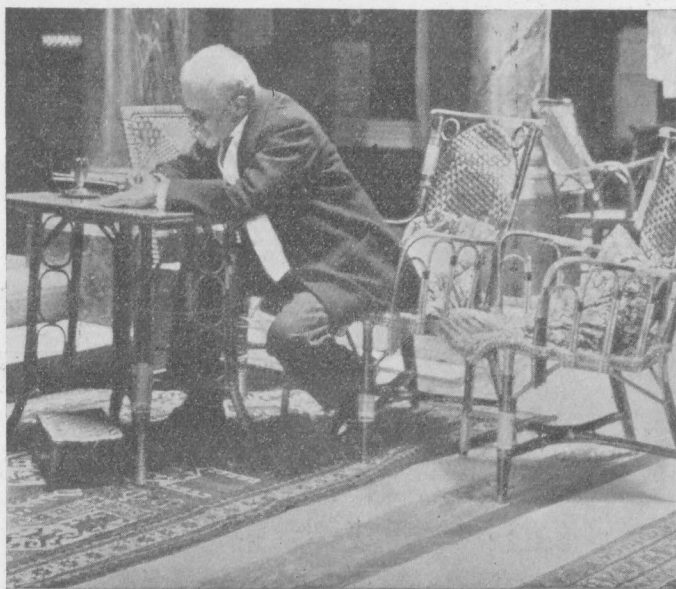
Jak wzdęta fala morska, którą wiatr żenie z dalekiej roztoczy, przyjdzie, spiętrzy się, zapieni, uderzy z hukiem, a potem cofnie się w dal, tak oni uderzali tu i owdzie i znów się cofali i znów uderzali, jakby próbując oporu.

Stwierdzamy tedy, że Sienkiewicz w całej pełni korzysta z łatwości polskiej w tworzeniu czasowników oraz jest w zgodzie całkowitej z polską skłonnością do prostego czasownika. Jednak należy tu zaznaczyć, że ani trochę nie próbuje tworzyć jakichś zupełnie nowych wyrazów—ani czasowników, ani innych zresztą.

A teraz specjalnie o imiesłowach na -ą c i -s z y. Niektórzy z nowszych pisarzy polskich, jakby zapomnieli o tej postaci mowy polskiej, Sienkiewicza

język obfituje w ten imiesłów, zgodnie z tokiem zdania polskiego. Np.:

Owe cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym jęcząc i prosząc o znak krzyża świętego. Wodził nabiegłymi krwią oczyma po obecnych, badając ich twarze. Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa. ...Wrzeszczał dalej Czaplński, nie uważając już na nic i na nikogo. To rzekłszy, doszedł do drzwi... Prawdę rzekłszy, w piętkę goni ten ogar. Kundys to, nie ogar — rzekł,



Henryk Sienkiewicz w swym gabinecie w Vevey na krótko przed śmiercią.



Pan Henryk Sienkiewicz  
syn wielkiego pisarza.

zbliżając się gruby szlachcic. Pzwól waść—mówił dalej, zwracając się do Skrzetuskiego. Krótko mówiąc. Tfu, jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim, jak serpens. Oto, mości panowie, słysząc o klęsce ojczyzny, przyszliliśmy tu przez płonące lasy i nieprzebyte błota, nie śpiąc, nie jedząc, ostatnich sił dobywając, by tę matkę naszą od zagłady i hańby ratować. Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać. Zapuszczają się pod Zbaraż watahy z pod Baru, Chmielnika, Machnówki, ścinając, grabiąc, paląc. A z nimi dziesięć tysięcy wojska kwarcianego, nie licząc kilku chorągwi...

Zauważyć tu przytem trzeba, że—znów zgodnie z normą języka polskiego—nigdy taki skrót zdania z imiesłowem nieodmiennym nie jest u Sienkiewicza długi: jeden wyraz czyli sam imiesłów tylko—dwa—trzy—cztery.

Również dość często posługuje się Sienkiewicz narzędnikiem—tą jędrną postacią, która w wielu wypadkach zwrot czy zdanie streszcza i zaokrągla. Więc np.:

Człek prawem ścigan. Chwilami nikły zupełnie. Widzę, żeś młody laty, ale stary eksperjencją i rozumem. Skoczyli ku sobie końmi... Nazajutrz rankiem. Dać sto kijów w pięty turecką modą. Kiedy tam wiwatują, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Silni nam

C I A G D A L S Z Y N A S T A P I.

n.i.m.i (dragonami) byli Lachowie dawniej. Czerń na ten widok zawyla radoszymi głosami. Chmielnicki, a z nim chan, ciągną potęgą. Żeby się tak w pokorę udali, jeszcze by ich można zdrowiem darować—co? Na Krym chciał iść ogniem i mieczem. Gnał resztkami nóg i tchu.

Jakże szczerze polski jest Sienkiewicz w przyimkach. Z braku miejsca zwrócę tu uwagę na niektóre tylko u niego przyimki. Używa tedy dość często koło i obok (Natomiast—nie tak często posługuje się przyimkiem przy, którego pisarze mniej wytrawni nieraz nadużywają pod wpływem niemieckiego bei). Dalej nie zapomina o ku. Bardzo szeroko i pięknie stosuje na. (Nie nadużywa wzorem obcym do i dla). Przyimka dla używa w pewnych związanych zwrotach celowych. I t. d.

Zaraz koło opustoszałej stancyi zjawiał się duch czy człowiek. Jeśli Bohun żyw, to się już musi... koło. Zbaraża lub Konstantynowa uwijać... Rzędzian zakrzętał się koło strawy...

Zbliżył się ku niemu. ...Zwrócił się ku Chmielnickiemu. Kilka wilków pomknęło przed chorągwiami ku zaroślom. ...Padł głową ku swoim na złą im wróżbę. ...Jeździli umyślnie szukać awantur... głównie między partyzantów, ku którym obaj czuli szczególną nienawiść.

...Takich burd na tysiące się liczyło. ...Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi. Hulał na śmierć z innymi zaporożcami. Jeśli się mam bić na swoje stare lata, to... Niektóre z nich (komarów) na palec grube. Ale wiele czarować nie mogłem, bo sztuka na sztukę. Zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucać. Pojedziemy na Uszyce, Mohylów i Jampol. Na temesmy się rozjechali. Stańło na tem, żeby...

...Jenom ludzi zostawił po drodze. Po całych dniach. Po jego grzbiecie na koń będą siadał.

Podali mu... buławę o osadzie z kości, o głowie ze ślinowatego rogu.

Za służbę idąc, nie mogę być rozkazom J. M. pana posłusznym. Za jedną drogą.

Na d wszelkie spodziewanie. Wszystkiego nie było na dwa tysiące ludzi.

Podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać. ...Podnosząc szklanke pod światło.

W sto koni. Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli.

Jabym radził czekać z dziesięć dni. Żeby tak jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali.

CZ. ROKICKI.

## Na sprowadzenie zwłok Henryka Sienkiewicza.

*Stulecie przeszłe. — Ku murom Warszawy  
Płyne żałobny kondukt pogrzebowy,  
To bohaterstwa Polski symbol krwawy.  
Na trumnie czako, broń, sztandar pułkowy.*

*Twe serce spocznie między nami, książę.  
Naród Twe zwłoki złoży w królów grobie.  
Śmierć bohatera rodaków powiąże.  
Ziarno poświęceń zrodzi się w żałobie.*

Z Tobą do trumny kładzie się pięć ziemi  
Wolnego Księstwa; sąsiad chciał zaboru,  
Lecz duch Twój budzi skrzydłami orlemi  
Boś jest symbolem OJCZYZNY HONORU!

Półwiecze mija — ku stokom Wawelu  
Idzie poważnie trumna osłoniona.  
Duch utęskniony tak po latach wielu  
Chce się przytulić do Ojczyzny tona.

Szumieć mu będzie chwata narodowa  
Płeigrzym — poeta mękę swą ukoł.  
Wśród królów spocznie największy król słowa,  
Bo szedł ku Polsce w ciężkiej cierpien zbroi.

Kochał Ojczyznę — kochał Naród cały,  
Miłował przyszłe, przeszłe pokolenia,  
Więc wraca dzisiaj w majestacie chwaty,  
Bo jest symbolem OJCZYZNY CIERPIENIA.

A dziś, gdy Polska znowu zmartwychwstała,  
Czyją to trumnę widzimy zdaleka?  
Czy ją rycerska opromienia chwata?  
Chcemy nań spojrzeć, uchylcie nam wieka.

Twórco „Trylogji“! wracasz ku nam w trumnie,  
Tyś w nas wykochał bohaterstwa znamię,  
Kto Ciebie czytał, głową wtrząsał dumnie,  
Zbrojnem młodzieńca stawało się ramię!

O tam w okopach przed dziką nawałą  
Młodzieniec walczył dla Polski honoru,  
Jak Podbipięta, pragnął zginać z chwata,  
W Skrzetuskim Janie szukał dla się wzoru.

Z Wołodyjowskim młodzieńcze marzenia  
Pogrześć pod gruzów fortecznym kamieniem  
Śnił, aby imię przeszło w pokolenia,  
Jak Polak umie ginać z poświęceniem.

Gdy do lepianki głód zajrzał żolnterza,  
Stawali przed nim woje ze Zbaraża  
I nieugięty wracał duch rycerza,  
Ten duch, co mocą swą wroga poraża.

Gdy złe przecucia smutkiem kryją czoło,  
Humor Zagłoby rozwesela ducha  
I dziwnie dobrze w lepiance, wesolo,  
Chociaż się niesie kanonada głucha.

A twarz rozpala junactwo Bohuna,  
Cześć budzi walka Jeremiego duszy.  
Dotknięta każda uczuć ludzkich struna  
Często nam oczy tłą smutku zaprószy.

Dola Jankowa, dziecięcia - artysty,  
Jak kwiat uwiedły, na drodze zdeptany.  
Nauczyciela Poznańskiego listy,  
Bartka Zwycięscy — chłopskiej duszy rany.

Dola sieroca Marysi niebogi,  
Co oczekuje „Jamiola“ gdzieś w lesie,  
Swiejących ślepiów błysk spotyka srogi,  
A wycie wilka po borze się niesie.

Głębia tęsknoty w duszy Latarnika  
I polska książka w drżącej jego ręce,  
I szczytna radość, co serce przenika,  
Dzieje przeżytych lat w nostalgji męce.

I długi szereg typów się przewija;  
Poeta w sobie wykochał je czule.  
A życie płynie i w rozterkach mija,  
Polski odwieczne radości i bóle.

Płomień miłości Ojczyzny tak dumny  
Rozgorzał w sercu poety zamłodu,  
Żarzy się jeszcze pod wiekiem tej trumny,  
W niej symbol WIARY W RYCERSKOŚĆ NARODU.

M. KUŹMIŃSKA.

## POWIEŚĆ — POEZJE — OPOWIADANIA.

M. H. SZPYRKÓWNA.

### DJABLICZKA CÓRKA DJABLICY.

CIĄG DAŁSZY.

Powiada pan, że są po miastach doktorzy, którzy się takimi djabelskimi sprawami zajmują? Może być! Po wielkich miastach ludzie są znudzeni i chwytają się byle

czego, aby się zabawić. Jeszcze za to płacą? Ha! Wierzę i w to. Ale, uważa pan, nasza ferma—to nie było miasto ani nawet porządne osiedle; ot tak—dach ludzki, uczipiony do skał, pod huczącymi sosnami, na wrzosowiskach. Niech mi pan

zaufa, że lepszego miejsca na swe harce sam djabeł by nie wyszukał!

Toteż i zalokował się w naszym domu na dobre. Co się działo od tej pamiętnej nocy, kiedy to mała dostała „kwiatki z tamtego świata” (tak o nich sama mówiła, i pewnie dobrze!) tego panu ani nawet opowiem. I najgorzej, że nie wiadomo było wcale, kiedy, skąd, jak i co. Jedno cośmy spostrzegli, to że po pierwsze—hałasy i awantury działy się tylko wtedy, kiedy w pobliżu była dziewczynka, a po drugie—że zwykle jednak wówczas spała. Spała spokojniutko, jakby naprawdę nie na tej ziemi—ale kiedy budziła się, mówiła zawsze to samo—jakgdyby troszkę z przechwałką:

— Kiedy spałam, przychodziła do mnie mamusia!

Najwięcej się wściekał, mogę powiedzieć, gospodarz. Poprostu był jak dziki byk, któremu wieszają czerwono przed pyskiem, a nie może się połapać, kto. Wiedział dobrze, że jest to wszystko sprawa nieboszczki, ale nie miał sposobu się zemścić, i to go doprowadzało do białej gorączki. Ryczał jak bawół i kłął strasznymi złorzeczeniami, od których ciarki szły po skórze nawet mnie, mężczyźnie. O dziewczętach nawet nie mówię; uciekały od niego jak od złej zarazy, chowały się po kątach lub tłoczyły się jak owce ze strachu. To go wściekało jeszcze bardziej, i w końcu wpadł na pomysł, który był już widocznie od początku przekłety: postanowił z pokoju nieboszczki, gdzie się odbywały harce, wyrzucić dziewczynkę i zalokować się tam samemu.

— Strachami mię chce zaleknąć, jak babę, psiakrew! Niedoczekanie! Babskie gadanie, zabobony, czy wreszcie djabeł: wszystko jedno! Koło tego djablęcia już więcej na paluszkach chodzić nie będę! Won! Na zbity łeb! Na śnieg wyrzucę, do lasu! Niech zdycha! Albo niech jej tam matka-djablica broni, i, niech czart moją duszę porwie! Zobaczymy, czy ze mną poradzi!

I zaczęła się najstraszniejsza i najmieszniejsza rzecz w świecie: pojedynek człowieka z nieboszczkiem. Poprosts zaciął się i postanowił robić „djablący” na złość. Miał charakter, hoho! Miał!

Naturalnie, zaczęło się od wyrzucenia małej z pokoju, no i od szczerzego piekła, co za tem idzie. Mała biła się, kopała, gryzła i czepiała rąk i nóg wynoszących meble ludzi, jak mały skorpion. Poprostu, wpadła w szał. Litość i zgroza było patrzeć na to stworzenie. Przecież było to dziecko, małe ośmioletnie dziecko, rzucone samopas na łaskę i niełaskę takiego wściekłego zuba, jak był gospodarz, zwłaszcza kiedy się upił. Zaś zatraciliśmy już pamięć o tem, kiedy był zresztą trzeźwy.—Dyrygował w nalanemi krwią oczyma, posępny i straszny, ludźmi, którzy wyciągali meble i od czasu do czasu kopał ciężkim butem małą, która czepiała go się z przeraźliwym nawpół udużonym od natężenia krzykiem. Nie było już tam nawet żadnych zdań, tylko poszczególne, rozsłochane, ochryple słowa:

— Mamusia! Nie pozwoliła! Zadusi! Moje! Nie chcę, nie dam... nie puszcze!...

Musiła jednak dać i puścić, bo i cóż taki chra-  
baczcz ze swemi małemi rączynami mógł. Musieliśmy

robić, co kazał. W pierwszym rządzie wyniesiono wielki na człowieka portret nieboszczki w ciężkiej ramie. Zawieszono go tymczasem w saloniku na haku po ściennem lustrze, które było pękło. Była tam jak żywa: wysoka, piękna, modnie uczesana, w czerwonej jak krew sukni, głęboko wyciętej i z ogonem, no i z temi cygańskimi oczami, jak gwieździsta noc. Kazał go malować jakiemuś wędrownemu artyście w pierwszym roku po ślubie, za czasów najgorętszej miłości. Ktoby to myślał, że właśnie pod tym portretem... Zresztą, po kolei!

Powyciągaliśmy na strych wszystkie rzeczy po nieboszczce, co drobniejsze; szafy z ubraniem nie można było ruszyć, bo była częściowo wpuszczona w ścianę; gospodarz zawołał pastucha z toporem i kazał ją rąbać; ja tego jednego podjąć się nie chciałem. Bóg z nami! Jeść trzeba, ale wolałem pójść raczej precz za chlebem, niż walczyć z nieboszczką po tem, com oglądał.—Handlarze z miasta kupili na wagę suknie i bieliznę, bo dziewczęta od rana porozbiegały się po kątach, a rudą Marję dopiero popołudniu wygrzebaliśmy z pod siana w stodole; wolałyby pomrzeć, niż wziąć bodaj jedną szmatkę, takie były przerażone. Łóżeczko małej wyrzucono do saloniku i jej małe dziecinne krzeselko, które niegdyś gospodarz robił sam. Była zupełnie jak pisklę wyrzucone z gniazda, jak złe, drapieżne i nastroszone jastrzębię, które już ostrzy dziób na zemście, jak na osełce nóż. I czy pan uwierzy, co zrobiła? Ni mniej ni więcej, tylko w nocy podpaliła dom.

Co się działo, opisać i powiedzieć nie sposób. Po tym całym dniu przeprowadzki byliśmy wszyscy pomęczeni, i, co tu skrywać?—pełni najgorszych przeżyć. Za dobrześmy pamiętali ostatnie słowa nieboszczki, że dziecka obroni bodaj z poza grobu! Toteż składając łóżko gospodarza pod tą samą ścianą, na tem samiutkiem miejscu, gdzie stało przedtem—kazał je spalić—łóżko nieboszczki: czułem nudne, tępe uczucie w okolicy serca, jakby tam przystawiono pijawkę. A to nieszczęście ssie człowieka, jak pijawica krew.

Położył się taki tam i został na noc, z grubym śmiechem, drwinami i przekleństwami, i zmusił siłą rudą Marję, że zaniósła mu tam wódkę i chleba z solą na przekąskę. Była tam może z godzinę, poczem wygnał ją, naśmiewając się i szydząc, że jest tchórz? Trzęsa się ze strachu i trochę beczała, w końcu jednak pospaliśmy się wszyscy, no bo poto dał Pan Bóg noc. I oto w nocy usłyszeliśmy straszliwy krzyk, który jak świat światem mrozi w żyłach krew:

— Gore! Pożar! Gore!...

Pałiło się w salonie, przy ścianie dotykającej białego pokoju nieboszczki. I czy pan uwierzy, co ta zmijka zrobiła? Wywierciła temi rączynami, z pomocą świdra otwór, napakowała tam pakuł i żywicy tak głęboko, że aż przeszły do sypialni, podpaliła, podłożywszy jeszcze koldrę z własnego łóżeczka, i—słyszał pan coś podobnego? zamknęła na kłódkę od zewnątrz drzwi do pokoju ojca, tak że musiał wyskoczyć oknem na śnieg. Nie skombinowała tego, mała djabliczka! Sądziła, że go upiecze żywcem. Nie, poprostu dotąd nie mogę o tem myśleć bez podziwu. To dziecko miało przecież ośm lat, i było skopane, zbite



i półzywe od płaczu, kiedyśmy ją w tym saloniku położyli spać! Musiała się przyczać, a około godziny drugiej w nocy cały narożnik domu z tamtej strony stał w płomieniach.

Piekło się zrobiło nieopisane, i nie będę nawet próbował o tem opowiadać. Sam byłem nawpół przytomny! Czarna noc, czarny las, kupka obłąkańczo się miotających w blasku płomieni, wpół nagich ludzi z widłami i toporami, huk ognia, dym... W końcu ugasiłszy pożar, i nawet bez dużych szkód—tylko pokój nieboszczki był narazie zrujnowany, i—taki mała postawiła na swoim!...—gospodarz musiał się wynieść z łóżkiem do salonu, ale zato—wyrzucił ją samą dosłownie w koszulce na śnieg. Nawet nie krzyczał: syczał z pianą na ustach i palce mu się zginały żeby ją, udusić, kiedyśmy ją wykryli, jeszcze ze świdrem w ręce i z pakułami, pod kanapą w salonie. Nawet nie ruszyła się stamtąd, mimo że dom się palił—tylko oczy jej się zapadły i paliły się dziko, zupełnie jak u matki. Podobna była naprawdę do małej czarownicy w tych zburzonych włosach i dzikich oczach, skurczona jak złe zwierzątko, — prawdziwie była wtedy djabliczką, córką djablicy! Na miły Bóg! W tej jednej chwili zdawało się, że piekło ją oświeca swym blaskiem!

Otóż najprzód chciał ją prosto zabić uderzeniem pięści; uczyniłby to niezawodnie, gdybyśmy się do niego wszyscy z krzykiem nie rzucili. Wówczas zdawało się, że siły go na chwilę opuściły; oparł się o ścianę, zbieleł i z oczami zamkniętymi dyszał chwilę ciężko, mocując się ze sobą. Potem nas odsunął, otworzył drzwi od sieni—a była to wciąż jeszcze noc —i wyrzucił dziewczynkę jednym kopnięciem, tak

że się potoczyła na śnieg. Nie wiem jakim cudem, zanim drzwi zatrzaskały, kucharka zdążyła wyrzucić za nią kozuch pastucha, który wisiał na kołku tuż obok. I to było całe szczęście, bo wie pan co zrobił? Zarzłował sam drzwi, usiadł przy stole w jadalni, położył rewolwer przed sobą i powiedział:

— Pierwszemu, który się ruszy, żeby otworzyć jej drzwi, wpakuję w łeb kulę tak, jak mnie tu widzicie. Precz!

Co mieliśmy robić? Był bliski obłąkania; już nawet nie krzyczał, tylko się sprężył w sobie jak zwierzę do skoku. Ścisnął tylko rewolwer kurczowo i bez słowa patrzył na drzwi. A tymczasem napróżno, bo mała nietylko nie wróciła kołatać, ale przeciwnie—znaleziono ją nazajutrz rano przeszło o pięć kilometrów od domu, w lesie, na sągach drzewa, przygotowanych na sprzedaż. Drwale, którzy ją przywieźli, mówili, że najprzód chcieli do niej strzelać, bo zdaleka przyjęli kozuch za niedźwiedzie kudły. Potem sądzili, że to zły ich zwodzi w postaci dziecka w koszuli wśród głębokiej zimy w lesie — wreszcie ją poznali, bo zresztą któż w okolicy nie znałby małej djabliczki? Dowiedzieć się od niej niczego nie mogli, bo była nieprzytomna i w silnej gorączce — pokazało się potem, że był to tyfus. Położyliśmy ją w saloniku do jej dawnego małego łóżka i szepotaliśmy między sobą, co to będzie, bo gospodarz od rana poszedł do stodoły i nie wracał. Widzieliśmy, że leży na sianie i patrzy w górę; wiedzieliśmy, że jak przywieźli małą, dobrze widział. Nie mówił jednakże nic, i cóż mieliśmy robić? Przecież niepodobna dziecka w malinie trzymać na dworze!...

K. A. CZYŻOWSKI.

## D Z I E C I.

Pan Agapit Tuzinkowski jest moim dobrym, jeszcze przedwojennym znajomym. Jako zapamiętały wróg idealizmu, mogłem studjować prawdę o prawdzie, że co innego teoria i ideał, a co innego praktyka i życie.

Pan Agapit był zawsze idealistą i twierdzi niemal od dziecka, że to jest jedyna droga do uszczęśliwienia ludzkości.

Idealizm jego łączy się naturalnie z miłością do ludzi i życia.

Nie wspominałbym zresztą o nim ani jednym słowem, gdyby nie to, że właśnie kilka dni temu spotkałem się z nim i ledwom go poznał, tak strasznie podupał z wyglądu.

Szedł z jakąś olbrzymią teką pod pachą, zapałtrony w ziemię i sam ze sobą rozmawiający.

Ubranie jego mówiło, że jest albo zredukowanym urzędnikiem albo wogóle dzisiejszym inteligentem.

— Dokądże to panu tak śpieszno?—zatrzymałem go jak najserdeczniej.

Popatrzył na mnie wyblakłymi oczyma, przystanął i poznał mnie.

— A, witam pana.

— Odkądże to starych znajomych wita się tak chłodno?

— E, panie, listopad za pasem, skąd brać ciepło.

— Nie widziałem pana kopę lat. Cóż słyhać u pana?

— Dziękuję, coraz gorzej.

— No, no, pierwszy raz pana widzę w tak podłym usposobieniu.

— Panie, ja już zapomniałem, co to jest wogóle usposobienie.

— Jakto? Pan, ten wieczny idealista i optymista?

— Zostałem strasznie oszukany.

— Przez kogo?

— Albo ja wiem? Przez los, przez życie, przez społeczeństwo, — przez kogo zresztą pan sam chce.

— Nie rozumiem pana. Czyżby jakie nieszczęście?

— Siedem nieszczęść panie! A ósme też w drodze. Ale to długa historia.

— Może pozwoli pan na herbatkę, radbym panu czemśkolwiek dopomódz. Pogadamy, może się coś da...

Pan Agapit spojrział na mnie z podełba, wzrokiem człowieka, który już nawet policji samej nie wierzy.

— To wykluczone.

— Dlaczego?

— Ja mam dzieci.

— Nie rozumiem pana?

— No...— chodź pan na herbatkę. Już mi to tak dojadło, że nareszcie muszę się przed kimś zwierzyć.

W kilka minut później siedzieliśmy w małej cukierence przy herbatce, ja zasłuchany łapczywie w każde słowo pana Agapita, a on rozgorączkowany goryczą, której nigdy nie dawał do siebie przystępu.

Początkowo towarzysz mój wpadł w zadumę i prawie na mnie nie zważał. W pewnej jednak chwili podniósł głowę do góry i wpatrzył się na coś na ścianie. Odwróciłem głowę i zauważyłem, że jest to ogłoszenie tej treści:

Zdrowe dzieci!! To przyszłość Narodu!!

używajcie tylko

! MACZKI „BEBI“ !

dla niemowląt.

!! Działa nie przerywając snu !!!

W tej samej chwili kiedym akurat kończył czytać ogłoszenie, pan Agapit zerwał się od stolika i jak szalony rzucił się na ogłoszenie i z krzykiem: „To nieprawda!!“ zdarł je ze ściany, potargał i podeptał.

Widząc to, zaniepokoiłem się poważnie stanem zdrowia mojego towarzysza. Podskoczyłem więc do niego, chcąc go uspokoić.

— Co pan robi?

— To nieprawda!!

— Ale co nieprawda?

— Że przyszłością narodu są zdrowe dzieci?

„O, źle z nim“ pomyślałem. Ale nie chcąc go drażnić i wogóle żałując, że go zaprosił na herbatę, próbowałem znaleźć wyjście z sytuacji.

— Jakto, więc pan, panie Agapicie uważa...

— Ja nic nie uważam, ja wiem napewno.

— Możeby pan zechciał objaśnić mi, co pana doprowadziło do takich przekonań.

— Dzieci własne.

— Dzieci?

— A tak, dzieci! dzieci! — Przedrzeźniał się najwyraźniej, więc już obejrzałem się, gdzie jest wyjście, ale tym razem nie z sytuacji, ale wogóle z cukierki.

Pan Agapit jednak spostrzegł moje zaniepokojenie i chęć odwrotu i w tej samej chwili złapał mnie za guzik od palta.

— O nie, proszę pana. Nie ucieknie mi pan. Przed kimś nareszcie muszę się wyzalić, bo inaczej zwaruję chyba.

„Biedak“, pomyślałem, „jemu się zdaje, że on normalny. Gotowe bydłę dostać szalu“.

Ale na głos powiedziałem najuprzejmiej:

— Ależ słucham pana, drogi przyjacielu.

— Miałem i ja kiedyś dwadzieścia kilka lat i byłem naiwnym młodzieńcem, biorącym wszystkie hasła i ideały na gorąco. I to mnie panie doprowadziło do dzisiejszego mego stanu.

Przez chwilę milczał, jakby zbierał myśli. Później zapatrzył się gdzieś w dal i cichym głosem zaczął opowiadać.

— Byłem wówczas kawalerem, na zabój zakonchany w dzisiejszej mojej żonie i mieszkałem u pewnej pani radczyni, wdowie po radcy miejskim. Sto-

sunki między nami były bardzo miłe, niemal rodzinne. Pani radczyni obdarzała mnie wielką sympatją, tak, że uważałem ją niemal za matkę.

Naturalnie pani radczyni wiedziała, że jestem zaręczony. Rozmawialiśmy nieraz o tem i przy każdej sposobności ona namawiała mnie usilnie, bym nie tracił młodości, bym jaknajprędzej pobrał się ze swoją Klarą. Tłomaczyłem się przed nią, że na małżeństwo nie stać mnie jeszcze, że trzeba jeszcze czekać i t. p. ale ona wszelkie moje argumenta zbijała tak mądrze, że głównie dzięki nim, pobrałem się z Klarą, nie mając nic, oprócz kawalerskiego pokoju, dwóch par butów i jednego ubrania.

Żonę naturalnie sprowadziłem do siebie. Stosunki nasze z gospodynią były dalej jak najlepsze. Po dłuższym jednak czasie poczęła znowu dyskutować ze mną, obrawszy sobie za temat „dzieci“. Twierdziła uporczywie, że małżeństwo bezdzietne, to jest grzech przeciwko Bogu, że absolutnie powinniśmy się postarać o to błogosławieństwo Boże, że ona sama tak strasznie kiedyś chciała i t. d. i t. d. dość, że przekonała nas.

Mnie zresztą nie potrzebowała ona zbytnio przekonywać, byłem bowiem idealistą i zapalonym propagatorem hasła bardzo popularnego:

„Ludzie, rodźcie się! W dzieciach jest przyszłość ludzkości!!“

Klara wprawdzie krępowała się tem, że mamy jeden mały pokoiček, ale gospodyni ją pocieszała, że znajdzie się na to rada.

I stało się. Po roku przyszła na świat nasza pierwsza pociecha.

Człowiek jest człowiekiem, więc radość nasza nie miała wprost granic. Ostudziła ją dopiero pewnego dnia... nasza gospodyni, wymawiając nam mieszkanie.

— Jakto? przecież pani sama...

— No tak, ale pan przecież rozumie, że ja bezdzietna wdowa, cierpię niezmiernie, słysząc głos i płacze waszej ślicznotki. To nie na moje stare lata takie sąsiedztwo...

Cóż mieliśmy robić?

Wyprowadziliśmy się. Dostałem wówczas posadę administratora w kamienicy, w której też zamieszkaliśmy.

Dwa pokoje, kuchnia, łazienka, tak nam wyróciły w głowie, że po roku nowy nam spadł prorok z nieba, a za dwa lata, mieliśmy już troje dzieci.

„No — myślałem“ na mnie ludzkość narzekać nie będzie, jam się przyczynił do zaludnienia ziemi“.

W tym czasie wybuchła wojna. Naturalnie, że zwykłą kolejką zdarzeń znalazłem się na froncie.

Żona moja, nie chcąc zostać sama z dziećmi w centrum zawieruchy, wyjechała na wieś do rodziny. Każdy urlop spędzałem przy niej, ciesząc się rosącymi pędrakami, nic więc chyba dziwnego, że pędraków tych przybywało wciąż, aż wreszcie z końcem wojny, gdy wreszcie powrócił do domu, byłem ojcem sześciu pociech.

Mój Boże, wojna wytraciła tylu ludzi, że za każde dziecko państwo powinno nadawać specjalne przywileje roodzicom. Tak przecież głosi się publicznie,



NARZĘCZONA.

A. GROTGER.

na wiecach, na sejmach, na zebraniach, w gazetach i gdzie kto chce tylko.

Ufny zatem w sympatię i pomoc społeczeństwa, pozostawiłem żonę z dziećmi na wsi, sam zaś ruszyłem do miasta, by znaleźć jakąś nową posadę no i mieszkanie.

Pierwsze moje kroki skierowałem naturalnie do gospodarza kamienicy, którą administrowałem.

Gospodarz przyjął mnie uprzejmie, a posada szczęśliwie była wolna.

Umówiliśmy już warunki i termin sprowadzenia się, gdy wtem gospodarz pyta mnie.

— O nie wiem, ma pan dwoje, już dziś dużych dzieci.

Uśmiechnąłem się na to z pewną dozą dumy i oświadczyłem pewny gratulacji:

— O nie, panie gospodarzu. Ja doam o przyszłość narodu! jak dotychczas, mam sześcioro dzieci.

— Co?! Sześcioro dzieci?! Odmawiam panu posady.

— Ależ panie gospodarzu...

— Żadne „ale“. Moja kamienica jest cichą i lokatorowie nie zniosą takiej ilości dzieci.

— Ależ to przyszłość narodu.

— Bzdurzysz pan. W mojej kamienicy mieszka sześć partyj, a nie żaden naród.

— Cóż ja zrobię?

— Idź pan do narodu!—I trzasnął mi drzwiami przed nosem.

„Ha“ — pomyślałem — „egoista i wyrzutek społeczeństwa“.

I począłem szukać innej posady.

I panie, ja do dziś dnia szukam tej posady.

Żona tymczasem powiła mi siódme dziecko i na-

mówiła na ósme, twierdząc teraz to, co ja dawniej twierdziłem, że komu Bóg da dzieci, temu da i na dzieci, — a ja biegam od dwóch lat z kąta w kąt, z biura do biura i szukam posady.

Złożyłem setkę ofert i sto razy przyobiecowano mi pracę. Raz byłem już referentem ministerstwa. Gdy jednak przyszło wypełnić listę ewidencyjną, wraz z rubryką ilości dzieci, a to celem otrzymania dodatku, zwolniono mnie z posady, z dopiskiem do szefa wydziału, że „zanadto dzietny“.

Dwa tygodnie byłem w sklepie kolonialnym jako subjekt. Wtem pryncypał dowiaduje się, że mam siedmioro dzieci i zwalnia mnie, nie chcąc, jak twierdził, narażać mnie na pokusę co do wiktuałów.

Podąłem się z powrotem do wojska. Nie przyjęli mnie, twierdząc, że tak dzielnych ojców nie godzi się narażać na szwank.

Tymczasem w domu coraz gorsza nędza. Przejażdżo się już wszystko. Wreszcie pewnego pięknego poranku zjechała mi cała rodzina na kark. Zamieszkaliśmy na razie w barakach, gdzie zresztą każde z nas udawało samotnego wędrowca bez dachu, bo razem teżby nas pewno nie przyjęli.

Wreszcie wczoraj z głodu i rozpaczcy upiłem się i zamknęli mnie do ciupy. No, — pomyślałem, — teraz przynajmniej odpocznę i najem się. — Ale gdzie tam. Dziś rano wzywa mnie komisarz, że osiem osób przyszło mnie odwiedzić.

— Panie, idź pan na złamanie karku, kryminał, to nie hotel!

I wypuścił mnie na wolność.

— Więc pytam pana, dokąd to ja mam pójść właściwie?

## W L E S I E.

*W złoto i bursztyń ubrał się las  
I, zapatrzony w twarz bladą słońca,  
Cicho się modli, modli bez końca,  
Żegnając lato na długi czas,*

*Już hen, poza nim zostały sny,  
Które śnił często w nocie majowe;  
Dziś — smutny chyli ku ziemi głowę  
I roni zimne perłowe łzy,*

*Modli się, modli pieśnią bez słów,  
Strojny w minionej sławy kobierce.  
Zwolna się kurczy w nim stare serce,  
Zwolna konają wspomnienia snów...*

*Jutro się nad nim rozciągnie chmura,  
Owinie starca w łachmany mgły;  
Liści mu resztki wiatr zerwie zły,  
Potem je w pola zniesie wichura.*

*Niebawem przyjdzie zimowy skon,  
Dreszczem przeniknie lasu konary.  
Tu na polanie, upiorne mary  
Pod pogrzebowy zatańczą dzwon...*

*Modli się zatem, modli bez końca  
I przez rosnący gdzieś we łzach żal  
Widzi bezdenną przyszłości dal,  
A w niej — uśmiechy — złotego słońca.*



Z wystawy bieżącej Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.  
JESIEŃ NAD JEZIOREM Z CYKLU: KASZUBY.

T. ZIOMEK.

J. NIECKO.

## P O W R Ó T J A Ś K A.

Banachowa stała przy kominie i poglądała na garnek z mlekiem. W jednym ręku trzymała łyżkę, a w drugim miskę z surowymi zacierkami. Czekwała aż się mleko zagotuje, aby wsypać zacierki. Przy ławie na podłodze siedział maleńki chłopczyna, mrucał coś pod nosem, a drobnymi rączkami przekładał z miejsca na miejsce polana drew.

Wtem drzwi zamaszycie się otwarły i wpadła do chaty sąsiadka Antoniowa.

— Pochwalony!—rzuciła zziąjanym głosem.

— Na wieki...

— Wasz Jaśko wraca. W Łukowie widział go mój stary. Tylko go nie widać.

Banachową jakby piorun raził. Z rąk wypadła jej łyżka i miska z zacierkami. Zachwiała się, omal nie upadła na podłogę. Potem skurczona postąpiła kilka kroków ku ławie i ciężko usiadła. Głowę wtuliła w kolana, a ręce bezwładnie opadły jej ku ziemi. Z pierśi wydobył się jęk pełen bólu i rozpacz.

Antoniowa drgnęła trwożliwie, obejrzała się na drzwi, poczem podeszła do Banachowej i półszepem zaczęła mówić:

— Et, czego tam będziecie beczyc. Juścić, że Jaśko wam na sucho nie przepuszczą. Ale wytrzymacie,

nie bójcie się. A zresztą, może bez żadnych krzyków się obejdzie. Pamiętacie, jak Sikorzyna bała się swego, że ją zbije na śmierć. Tymczasem, gdy wrócił, nie tylko jej nie zbił, ale wyśmiał ją gdy się wystraszyła, ujrawszy go we drzwiach. Dzieciaką teraz lubi, że aż dziwo. Cieszy się nim, pieści i wiecznie na rękach nosi, jak swego rodzonego.

Chciała jeszcze coś mówić, ale Banachowa powtórnie jękała, poderwała się z ławy i skoczyła do alkierza.

Mały chłopczyna odrzucił precz od siebie drewno, które w tej chwili trzymał w ręku, spojrzął na matkę i zaczął przeraźliwie płakać.

Antoniowa spojrzała w stronę alkierza, potem na chłopczynę, wykręciła się ku drzwiom i poszła. Dopiero za drzwiami mruknęła:

— Całkiem wdał się w tego czarnego żandarma. Żeby on tu jeszcze był, Jaśko napewno by go utrupił, ale co tam?

Na podwórku rozległo się przeciągłe, przeraźliwe wycie brytana. Antoniowa cała zadrzała. Zrobiła śpiesznie znak krzyża świętego, a potem wyszeptła:

— Zły znak. Banach ją zabije.

I drząc, jak listek osikowy, biegła pełna lęku i trwogi ku swej chacie.

\* \* \*

Banach szedł zamaszystym krokiem ku swej chacie rodzinnej. Spotkani sąsiedzi opowiedzieli mu o wszystkim, co się działo w domu przez te kilka lat, gdy był na wojnie. Coś mu serce rozdzierało na strzępy. Czasami w piersiach tchu mu nie starczało. Przystawał wówczas, głęboko wciągał powietrza, a gdy je wydychał z siebie, wydobywał się wówczas z piersi jakiś głos przeciągły. Czasami podobny był ten głos do przedśmiertnego jęku zranionego zwierza, to znów do przeraźliwego, pełnego bólu i rozpaczycy wycia bezdomnego psa.

— Och, och, och.

Zaciskał pięści, zgrzytał zębami. Oczy mu nabiegły krwią. Zablizniona rana na lewym boku strzykać go zaczęła.

— Zmiażdżę cię, zatłukę, o-o-och!

Pędzi z jakimiś piorunami w oczach. W piersiach rozszalała się burza. W boku go strzyka boleśnie. Znowu brak tchu. Przystaje, wciąga powietrze głęboko. Wydycha je i jednocześnie jęczy:

— Ach, bodaj ich!

Nikt tego nie widzi, nie słyszy. Chyba tylko księżyc, ale ten patrzy się na Banacha obojętnie. Gwiazdy zerkają z wysokich przestworzy, ale też nie czuje Banach żadnego współczucia i od nich. Zresztą może nawet nie wie, że księżyc i gwiazdy w tej chwili świecą. Może nawet nie wie, że noc wokół panuje.

Krztusi Banach poprzez zęby:

— Podła!

Przystaje. W boku go szarpie coś okrutnie. W piersiach brak tchu. Chce siadać—ale nie! Skoczył jeszcze kilka kroków. Wtem zachwiał się i padł na szerokim gościńcu. Spojrzenie oczu utkwiał w miljonowe morze gwiazd. Świecą, jak cudnie świecą! Naresz-

cie płuca rozfalowane uchwyciły powietrza. Nie nają mu się snuć przed oczyma duszy.

wstaje jednak Banach, jeno leży, jakieś myśli zaczytał pod oknem swej Zośki. Panną wówczas jeszcze była. Siedziała przy piecu i przadła kądziel przy kołowrotku. Prawą rękę oparła na kolanie, a lewą sprytnie czuchrała len i puszczała cieniuchne, równiusieńkie promienie, które skręcały się na nitki. Powyżej dłoni widział białą oszyweczkę koronki, oszytej drobnymi ząbeczkami. Widział zielony stanik wyszywany, który wyciskał jej kibić. Głowę pochyliła nieco ku lewej stronie, zdawało się, że tuli ją miłośnie ku kądzielii. Lica miała rumiane, usta rozchylone w prześlicznym uśmiechu. Pamięta, jak serce w piersi wówczas mu się trzepotało miłośnie, radośnie. Coś go ku niej rwało. Usta bezwiednie zaszeptały:

— Musisz być moja!...

\* \* \*

I była Zośka Jaśkowa.

Niedługo jednak. Na wojnę poszedł, a Zośka została sama. Po latach kilku wraca Jaśko do chaty swej rodzinnej, i leży na szerokim piaszczystym gościńcu, bez żadnej już mocy, bez żadnej już woli. Leżał tak już kilka razy na polach krwawych bitew, ale czyjeś ręce zawsze go uniosły i żył, zawsze żył, aż teraz padł i leży bez mocy. Jeno trochę myśli płacze mu się w rozpalonym mózgu, jeno serce jakoś dziwnie się kołocze w rozfalowanych piersiach.

W oddali słychać okrutne wycie psa.

Księżyc spogląda na Jaśka z przeraźliwą obojętnością.

Może widzi kogoś takiego, któremu Jaśko zgottał podobny sobie powrót do chaty rodzinnej.

Może patrzy na taki sam powrót żandarma austriackiego, któremu Zośka uległa.

Kto to może odgadnąć.

## JERZY LUŻYC

### Robinson Capryjski.

#### CIĄG DALSZY.

Dalej droga przedstawiała się ponętniej. Mogła mieć pochyłość 75° tak, że położywszy się na płask całym ciałem i rozłożywszy ręce i nogi, można się było przy pomocy bylejakiego podtrzymania utrzymać. Na nieszczęście jednak zasiana była ułamkami skał, nie większemi, niż funtowej wagi. Ułamki te tworzyły niby koryto łożyska, którem zwietrzałe skały zsuwały się do morza. Wyglądało to nawet ponętnie, dawało bowiem pozorze oparcie dla nogi i dla rąk. Niegdyś jednak, zaufawszy tego rodzaju drodze, zsunąłem się wraz z lawiną takich głazów z samego szczytu skały Kmity pod Krakowem i tylko gęste pnące dzikiej róży uratowały mię od śmierci. Teraz więc ba-

łem się zdradliwych kamieni i postanowiłem nie zrobić ani kroku bez zabezpieczenia.

Z ubezpieczeniem zaś było gorzej. Między głazami rosły jedynie ciernie. Przed każdym posunięciem się w górę musiałem wybierać ostrzejszy kamień i czyścić uprzednio z kolców gałęzie, za które miałem się trzymać. Raz przy tej operacji osunął mi się nagle kamień pod nogą i musiałem się schwytać gałęzi nieoczyszczonych. Ciężar mego spadającego ciała targnął mię mimo to parę cali w dół—i lewa ręka, przejechawszy wzdłuż kilkunastu kolców, miała na zgięciu dłoni jedną wielką poszarpaną ranę.

Z „różnymi wiatrami”, jakby powiedział Homer, żeglowałem tak w górę. Gdy skończyły się kamienie,

zaczęły się skały, pochyłość się zwiększyła, łatwiej się było posuwać. Potem znów grunt się wspiął niemal prostopadle, ale los zesłał na mej drodze jakieś silne i pocziwe karłowate krzewy w rodzaju jałowcu. Czułem, że posuwam się szybko. Nie patrzyłem w dół, bo choć zawrotów głowy się nie boję, wolałem nie wywoływać wilka z lasu.

Aż mi się wreszcie zdarzyła kamienista platforma, wielka, wygodna. Wygramoliłem się na nią i—radość—wyciągnąłem się na wznak, patrząc w niebo. Potem skwapliwe spojrzenie w dół. Spojrzałem—i zakląłem (radośnie). O jakie sto metrów z okładem podemną śmiało się lazuruwe morze, w którym były ostatnie blaski chowającego się za Monte Solario słońca. Żaglowce, sandolina, motorówki, kajaczki, barki rybackie o wzdętych bokach, łodzie spacerowe, promenowały sobie na całym obszarze. A ja, jak cymbał, siedziałem tu oto, o sto metrów wyżej, podarty, poraniony, czerwony od krwi, mieszanej z grudkami ziemi,—i nie mogłem już zleźć. Tam oto w dole dwadzieścia minut drogi do Marina Piccola. Pani Giovani'owa właśnie pewno na patelni przekłada ulubioną moją rybę—czerwoną „Triglię“, a małe bombinięta brudnymi paluszkami szykują sałatę z pomidorów, gęsto zaprawioną octem i oliwą. Ogromny gar „spaghetti“ (cieniuchny i niezmiernie długi makaron) bucha parą na kominie, a czarnooka Margherita stawia butelkę caprijskiego wina, lód i naręcze przezroczyстых uva (winogron).

Było to wszystko bliskie—a tak dalekie. Podniosłem oczy w górę, na bezlitośne skały, aby się zmierzyć z drogą, która mię czeka. To, co ujrzałem, kazało mi odrazu zerwać się na nogi. O jakie trzy piętra nad sobą zobaczyłem mur tarasu winnicy. Na Capri, wobec wielkich stromości zboczy, winna macica kultuwuje się na tarasach, mozolnie trenulowanych w górę. Rzecz prosta, że założenie takiej winnicy wymaga ogromnej pracy. Toteż, praca ta, trwająca stulecia, skończona jeszcze nie jest. Ogromne połacie nieużytków ma jeszcze Capri. Rok każdy wszakże przynosi nowe girlandy tarasów. W ten sposób cała wyspa zmienia się zwolna w wiszące ogrody.

Tarasy te chronione są murami, zapewniającymi bezpieczeństwo zbierającym. Taki mur ujrzałem teraz przed sobą. A więc jeszcze tylko 3 piętra! A potem—ze trzy kilo, mniejsza o to z czyjej winnicy „do wnętrza“, wieniec winogronowy na głowę i dyonizyjski pochód po przez wille wyspy do rodzinnej Itaki z „trigliami“ i z Margherita.

Zagrzązany takimi perspektywami, zaraz ruszyłem w górę. Był to najcięższy kawałek drogi. Niemal pionowy, znowu z sypkim szmerglem pod stopą, niemal bez ubezpieczeń, przeważnie bowiem rosły złe, twarde kępy zeszcłej trawy, która nie mogła mię utrzymać. Posuwałem się nadzwyczaj wolno. Za każdym poruszeniem zruszone głązy toczyły się w dół z chrzęstem. Niektóre nie zatrzymywały się na opuszczonej przezemnie platformie, padając dalej, tłukąc o skaliste zbocza szczeliny i dudniąc głucho i niesamowicie, i nigdy nie kończąc się, pełzającym cicho

i znów zniecka wybuchającym niesamowitem gromowym echem gdzieś, hen w czeluściach skalnych już nad samym morzem.

Wreszcie dopełziłem do owego „muru“. Był to—masywny blok skalny, wypełniający całą przestrzeń szczeliny—wąwozu od ściany do ściany. Dalej za nim odsłaniały się całe przestrzenie idących, hen, aż pod szczyt stromych ścian. Byłem na połowie drogi. Zawód—zaiste—zbyt bolesny.

Zwróciłem wzrok w dół. Wisiałem teraz, niby jaskółka (nb. sześciopudowa), przyczepiona do olbrzymiego głązu, na wysokości trzech pięter nad skalistą platformą, będącą pod memi stopami. Słońce schowało się już zupełnie za Monte Solario. Łodzie ścigały z nagle pociemniałego morza. Było jednak jeszcze jasno. Do zapadnięcia mroku mogłem mieć najwyższej godzinę.

Z gorączkowym pośpiechem badać zacząłem skałę, grodzącą mi drogę. Rozsiadła się tak szczelnie i nieustępliwie od ściany do ściany i tak była gładka, że chyba by tu pomogły orle pazury rycerza z bajki co to się piął, szelma do świetlicy królowy na szklanej górze. Zwykłemi bowiem „rękami“ alpejskiemi nicby nikt nie poradził.

Z prawej strony było małe ściany odchylenie. Zaczepić o nie jednak nogi nie było sposobu. Wciśnięty między skałę i ścianę, trzymając się niemal wyłącznie rozparciem ciała, łapałem pożądliwem okiem na solidny i obsadzisty jałowiec, który rósł sobie o pół metra od czubka mego najdłuższego palca najbardziej wyciągniętej ręki. Noc szła, nie było co robić. Prawą stopą odbiłem się na lewo na głąz, lewą kopnąłem w gładką skałę, powodując dalszy na prawo ku górze rzut—i jałowiec miałem w garści. Gdybym chybił,—znalazłbym się szybko i bez kosztów na szczytach zęby głązów trzy piętra w dole.

Siedziałem więc teraz na skale, która ongiś z dołu wydawała mi się winnicą i miał winnej jagody starałem się rozzuć, zwilżyć i zmiękczyć zeszcły w ustach jeźor—był to bowiem jeźor istic potępieńczy, akurat taki, na który musiał spuszczać kroplę wilgoci litościwy brat z łona Abrahama.

A w górze?—„dumne wirchy nurzały się w przezczystem górskim powietrzu“ i temu podobne baniałuki, bardzo przyjemne, ale na werandzie hotelowej. Psiakrew!—było już nudno i aż szaro. Było tak nudno, że trudno o tem pisać. Były znów skały, kamienie i jałowiec, znów jałowiec, kamienie i skały. Wreszcie zaczęły się gąiki jakichś drzewek, człowiek parł w górę, prychał, sapał, rzeził, szorował kolanami, brzuchem, zębami — aby dalej.

Wreszcie—wylazłem na szczyt, stojący samotnie jak gigantyczny kopiec termitów pośrodku konchy z czerwonych stromych skał. Szczyt ten sterczał pionowo z dna wąwozu. Żadnej z niego dalej drogi nie było. Chyba w niebo... Chcąc naprawić błąd, trzeba by złązić niemal na sam dół. Ale i to napróżno, bo skały, będące temu cyplowi oprawą, djabelskie czerwone skały Capri, były zupełnie strome i nie do opanowania.

# Z P R Z E S Z Ł O Ś C I

## SZTURM I RZEŻ PRAGI W ROKU 1794.

W ROCZNICĘ SETNĄ TRZYDZIESTĄ.

Powstanie Kościuszkowskie, mimo wszystko, sporo miało widoków powodzenia. Wszak naczelnikował mu wódz zdolny, świetnie wykształcony wojskowo, pełen najwyższego patriotyzmu. A otaczała Naczelnika rzadka zaiste miłość i zaufanie narodu. Wszak z zapałem uczestniczyło w powstaniu mieszczaństwo grubsze i drobniejsze, na trzy lata przedtem zrównane w prawach ze szlachtą. Wszak Naczelnik pomyślnie wciągał do walki o niepodległość lud wiejski. Popierała ją cała lepsza połowa szlachty. Powstanie ogarniało stopniowo, lecz szybko wszystkie dawne dzielnice Rzeczypospolitej, nie wyłączając krańców najdalszych — Żmudzi, Wołynia, nawet Kurlandji. Piękne zwycięstwa na początku powstania, świadczyły najwymowniej o nastroju i zapale powstańczym.

Niestety, z drugiej strony zaciążyły na tej wojnie narodowej dotkliwie skutki minionego okresu upadku i zaniedbania.

Przedewszystkiem brak było dostatecznego wojska i brak pieniędzy. Za mało by-

ło żołnierza wyćwiczonego, za mało broni, mundurów i wszelkiego sprzętu wojskowego, za mało wreszcie wykształconych oficerów.

Kościuszko, pod naciskiem okoliczności, podniósłszy powstanie wcześniej, niż zamierzał, wysłał się potem jak mógł, aby pomnożyć nieliczne siły wojskowe. Wśród przymusowych tedy przerw w działaniach tworzył tak zwane trzecie bataljony bez mundurów i karabinów, w obozach wzorowo urządzonych ćwiczył rekrutów, improwizował wojsko z oddziałów chłopskich, zbrojnych w kosy i piki. Następnie na potrzeby ojczyzny zasekwestrował nawet kosztowności kościelne. Te rzeczy można było wykonać w krótkim czasie. Ale wszystkiego niepodobna było improwizować. Niepodobna więc było szybko zgromadzić potrzebnego materiału wojskowego. Niepodobna też było improwizować oficerów, tak, jak się tworzyło naprędce oddziały powstańcze. Niepodobna wlać zapału, energii i ducha poświęcenia i poczucia odpowiedzialności w wyższych oficerów — a wielu z nich — ach, niestety — jak bardzo potrzebowało tego.

Przytem zastarzałe wady polskie — niedbalstwo i lekkomyślność grasowały i teraz w najgorętszych dniach rozstrzygających o przyszłości ojczyzny, tak samo, jak panoszyły się zawsze i codzień w życiu polskiem.

Kłeskę pod Maciejowicami w dużej mierze i przedewszystkiem przypisać należy temu niedbalstwu odpowiedzialnego dowódcy. Trudno bowiem posądzać zasłużonego generała polskiego o straszną złą wolę — o zdradę.

Rosja i Prusy początkowo dość lekcewały powstanie. Nauczili się już bowiem wrogowie lekcewać naród i państwo bezsilne. Wiedzieli, że regularne siły zbrojne Polaków są znikome. Sądziłi więc, że łatwo się upora z powstaniem polskiem te kilkadziesiąt tysięcy wojska rosyjskiego i pruskiego, które wówczas stało w Polsce. Gdy jednak rachuby owe zawiodły, Katarzyna pchnęła na Polskę z Ukrainy Suworowa, aby ten nareszcie przeważył szalę wypadków.

Suworow zmierzał ku Warszawie błyskawicznymi marszami, kierując się ku stanowiskom rosyjskiego generała Fersena. Praǳnął, złączywszy siły razem, uderzyć na stolicę Polski, która niespodzianie ośmieliła się powstać przeciwko nakładanemu jarmuzmu.

Kościuszko, dowiedziawszy się o tych planach, zamierzył je pokrzyżować. Postanowił natrzeć na Fersena, zanim nadciągnie Suworow. Ruszył tedy z Warszawy na południe, gdzie na prawym brzegu Wisły pod Maciejowicami zatrzymał się Fersen. Zawcza-



KOŚCIUSZKO





## M A C I E J O W I C E .

Obraz przedstawia krytyczną chwilę bitwy,  
gdy chwieją się polskie sztandary.  
Kościuszko ranny przechyla się na koniu.  
Na twarzach żołnierzy — zwątpienie,  
żał, rozpacz.

su wysłał rozkaz generałowi Adamowi Ponińskiemu, aby również spieszył pod Maciejowice. Stał Poniński tylko o pół piątej mili od Maciejowic, pilnował Fersena — mógł łatwo przybyć na czas. Niestety — zawiódł (tłumaczył się potem, że rozkaz otrzymał za późno). Maciejowice 10 października zakończyły się zupełną klęską polską. Sam Kościuszko dostał się do niewoli.

Gdy do Warszawy doszła 12 października wieść o klęsce pod Maciejowicami i niewoli Kościuszki, żal niewymowny ogarnął gorący lud stolicy. Tłumy — kilkanaście tysięcy ludu — zebrawszy się naprędce, rzuciły się przez bramy miasta i pobięły odbijać ukochanego Naczelnika. Dopiero o trzy mile za Warszawą, już za Jeziorną, powstrzymał Kołłątaj tę rozpaczliwą wyprawę, wytłumaczywszy, że idzie na rzeź pewną a bezowocną. Lepiej gotować obronę Warszawy. Suworow bowiem niezadługo już połączył się z Fersenem.

Suworow miał podobno rozkaz, aby zatrzymał się w pochodzie i na zimę zawarł zawieszenie broni. Lecz po Maciejowicach, nie chciał tego uczynić: z właściwą mu huraganową energją i stosownie do swego systemu — aby całkowicie a niezwłocznie dobić klęski nieprzyjaciela — dążył teraz rzeczywiście na Warszawę.

Rada Narodowa energicznie i gorączkowo pracowała jakby wzmocnić praskie okopy stolicy, urządzone jeszcze przez Kościuszkę i przygotować obronę. Dowództwo oddano zacnemu lecz nieudolnemu Wawrzeckiemu, choć się ze łzami odeń wymawiał. Obroną jednak kierował raczej Zająček. Sypano szańce na Pradze. Prezydent Zakrzewski posyłał codzień po dwa tysiące ludzi z łopatami i siekierami do tej roboty. Potem zaś obowiązek ten nałożono na wszystkich mieszkańców. Czyniono co tylko było można, aby dźwigać i podnosić ducha. Używano do tego i kazalnicy i teatru. Istotnie dźwigać go trzeba było, bo zwątpiał i upadał widomie. Rada ogłosiła kilka odezw, między innymi z hojnemi obietnicami nadzia-



Ze zbiorów Cz. Rokickiego.  
Portret Suworowa — ze współczesnego mu sztychu  
wiedeńskiego.

łów i nagród dla żołnierzy i ich rodzin. Zajączek i Jasiński radzili uzbroić mieszczan i potworzyć z nich oddziały obroncze. Atoli odstraszały od tego pomysłu niedawne wypadki samowoli ludu warszawskiego, kiedy to na szubienicach zawisło kilkunastu zdrajców ale obok nich i ludzie niewinni. Projekt ów upadł tedy. Następnie Zajączek i Potocki radzili bitwę w otwartym polu, przed okopami, ale po doświadczeniu maciejowickiem, a wobec sił nielicznych i nastroju i ten projekt nie zdołał się utrzymać.

Wogóle po klęsce maciejowickiej wiara w zwycięstwo upadła już właściwie—jak w społeczeństwie, tak i w rządzie. Rada gotowała obronę raczej z obowiązku i dla honoru, niż z przekonania i z wiarą. Z obowiązku wydawała gorące odezwy do mieszkańców stolicy, choć sama w głębi dusz swych członków zapła i wiarę straciła.

Chociaż, jakeśmy już mówili, okopy sypano z całą energją, to jednak nie starczało sił ni czasu, by wzmocnić je jak należy. Przytem do ich obsady rzeczywiście skutecznej potrzeba było jakichś 30,000 żołnieży, a tymczasem było go zaledwie do 10,000. Zaczynało już Warszawie—nawet żywności brakować. Napróżno drugi most chciał rzucić przez Wisłę Zajączek—i czasu brakło, i ludzi, i urządzeń.

Gdy Suworow zbliżał się do Warszawy, śpiesznie wywyższano okopy pierwsze i wznoszono już linę drugą. Umocniono też Saską Kępe, o którą miało się opierać prawe skrzydło polskie. Na wzgórzu przed skrzydłem lewym ustawiono strzelców. Także kępę po lewej stronie okopów obsadzono wyborowym oddziałem.

Pokazali się Moskale pod Pragę 2 listopada. Zaraz tej samej nocy usypali swe szańce i na nich 15 dział ustawili. A dnia następnego jęli gwałtownie prażyć z nich polskie okopy. Niebawem przybył sam Suworow. Był to talent wojskowy pierwszego rzędu i zarazem istny symbol niespokojnego ducha mocarstwowego rosyjskiego — żywiolowo napastliwy, w walce niepohamowany, okrutny i barbarzyński, przez największe ofiary z własnych żołnierzy i rzezie nieprzyjaciół, idący z płomieniem zniszczenia ku coraz nowym zdobyczom i zaborom. Ten człowiek symbol

musiał się krwawo zapisać w dziejach ówczesnych narodu polskiego.

Suworow, odrazu oceniwszy położenie, umiejętnie rozłożył swe siły. Z siedmiu kolumn, któremi rozporządzał, czterem rozkazał natrzeć na lewe skrzydło polskie, tutaj opanować okopy i wdrzeć się na Pragę; dwie inne zostawił w odwodzie, aby w rozstrzygającej chwili poszły za tamtymi; jedną wreszcie pchnął na Saską Kępę.

O trzeciej w nocy oddziały rosyjskie zajęły oznaczone stanowiska, a po piątej, za racą sygnałową ruszły do szturm na wzgórze, obsadzone strzelcami. Strzelcy, napadnięci znienacka nad ranem, pierzchnęli bezładnie. Obecny jednak właśnie był na Pradze czujny Zajączek. Podbiegł ku pierzchającym, powstrzymał ich i zawrócił. Ale w tej chwili kula rosyjska raniła go w nogę. Ledwie sam zdołał się przedrzeć wśród nacierających.

Gdy tak nie stało osłony, oddziały rosyjskie ruszyły ku wałom. Dopuszczono ich pod same okopy i sypnieto ognia. Lecz żołnierz polski był znużony i wyziębły, rozstawiony za rzadko, a nadewszystko przygnębiony. Pełnił już tylko swój obowiązek wojskowy, walczył bez wiary. Suworow zaś, upiwszy swych żołdaków, gnał ich bez litości, niecząc żadze najdziksze; po trupach jednych darli się inni. W pół godziny Moskwa stanęła zwycięsko na lewym skrzydle szańców praskich. Gdzie jednak wodzowie bronili się, trwając na stanowiskach z pogardą śmierci, tam i załoga z honorem, a bez nadziei walczyła do ostatka. Zwłaszcza koło t. zw. Zwierzyńca wrzał bój zaciekły. Tutaj jenerałowie Jasiński, Grabowski i Korsak, zbroczeni własną krwią, bronili straconych szańców od rozjuszonego żołdactwa w blaskach straszliwego pożaru — aż legli z chwałą. W ręce rosyjskie wpadło sto z górą dział polskich, broniących Pragi. Rosjanie w zapędzie już wdarli się na most. Wawrzecki, zdławszy jednak rychło opanować wzruszenie własne i popłoch żołnierzy, rozkazał most zniszczyć; wnet stanęli żołnierze z siekierami i rozrywać go zaczęli. Wkrótce potem zażrzmiały działa rosyjskie, obrócone teraz na Warszawę.

Na Pradze nastał dzień najokropniejszy. Suwo-

## R Z E Ż P R A G I.

Rozjuszeni grenadjerzy rosyjscy,  
wpadłszy do izby Prażan,  
kłują i sieką mieszkańców,  
nie zważając na wiek ni płeć.



row rozkazał podpalić trzy ulice. Żołdacy, szaleni wódką, walką i krwią, podbechtani przez wodza, rozpuścili wszystkie instynkty okrutne, które drze- mią w duszy rosyjskiej. Rzucili się w ulice, rozbiegli po domach, do strychów i piwnic. Mordowali bez lito- ści, bez sensu, bez celu. Mężczyzn, starców, kobiety i dzieci, księży, żydów — wszystkich zarówno. Oca- leli tylko ci, co zbiegli z wojskiem do Warszawy. Pó- źniej już nikt nie uszedł śmierci. Działy się sceny nie- ludzkie. Dziewczęta, za rycerską tradycją kozacką, najprzód gwałcono, potem zabijano. Kozacy nosili po ulicach dzieci, na dzidach nadziane. Panny Bernar- dynki, obdarłszy do koszul, zaprowadzono wodzom do obozu — dzięki temu, śmierci uniknęły... Widzia- no, jak matka jedna, uciekała przez most, niosąc je- dno dziecko na rękę i prowadząc drugie. Ujrawszy most przerwany, rzuciła jedno dziecko, zepchnęła drugie i sama w nurty skoczyła. Zginęło w tej rzezi

przeokropnej około 20 tysięcy ludzi. Wielu, przez Wisłę ratując się, potonęło.

Przez kilka dni leżały na Pradze stosy ciał, zbro- czone krwią — żołnierzy, kobiet, starców, niemowląt. Śród nich — pozabijane konie, psy, koty, nawet świ- nie. Tu i owdzie drgały jeszcze ciała niektóre. Praga stała w płomieniach i dymie. Z trzaskiem i hukiem waliły się niedopalone dachy i ściany. Wtórowały im wrzaski rozszalałej tłuszczy żołdackiej, która grabiła teraz domy ocalałe.

Tryumf Rosji nad Polską był zupełny.

Następnego dnia 6 listopada zgębiona Warsza- wa kapitulowała.

Dawna Rzeczpospolita grażyła się w przepaść ostatecznie.

3 stycznia 1795 roku pełnomocnicy rosyjski i au- stryjcki podpisali deklarację trzeciego rozbioru Polski.

SŁ. KORYCKI.

# PO SZEROKIM ŚWIECIE

## W ODRADZAJĄCEJ SIĘ TURCJI.

### III.

Pojechałem do Konstantynopola na otwarcie pol- skiej wystawy przemysłowej. Była to główna przy- czyną skierowania naszego ruchu turystycznego w tym roku do Turcji.

Grono kupców i przemysłowców warszawskich, w porozumieniu z turecką izbą handlową, urządziło tę wystawę. Do roboty przy urządzaniu jej stanął Krystyn hr. Ostrowski i Kiltynowicz. Dzięki ich wyte- żonej pracy a nieraz i pomocy materialnej, cała im- preza przyszła do skutku.

W dzielnicy miasta zwanej Top Hane, prawie w samym porcie, między dwoma meczetami a Bosforem, tuż nad ocembrowanym jego brzegiem stanęły podług pomysłu art. mal. Frycza zgrabne pawilony, w któ- rych rozsiadł się skromny nasz przemysł i jeden mały pawilonik, w którym Turcy wystawili swoje tytonie, majoliki i dywany.

Na otwarciu, jako przedstawiciel prasy, musia- łem być obecny. Odbyło się ono uroczystie w asy- stencji przedstawicieli rządu i władz municypalnych nazajutrz po przyjeździe naszym do Konstantynopo- la o godz. 11 rano i zajęło nam prawie cały dzień.

Otwarcie zagał Krystyn hr. Ostrowski po pol- sku, zakończył zaś prof. Smogorzewski po turecku.

Po zwiedzeniu pawilonu udaliśmy się do restau- racji wystawowej nad Bosfor na filiżankę kawy po turecku. Tam usłyszeliśmy jedyną może w swoim ro- dzaju muzykę, pieśń syren okrętowych. Drżała ona w słońcu nad lazurowymi wodami Bosforu niezwykle uroczystie.

Zrazu myślałem, że syreny portowe witają w ten sposób otwarcie naszej wystawy, potem jednak do-

wiedzieliśmy się, że to był hołd złożony Kemalowi- Paszy, który dnia tego przejeżdżał przez Bosfor.

Po kawie poszedłem raz jeszcze zwiedzić pawilo- ny wystawy.

Tylko 150 wystawców reprezentuje przemysł polski. Kryzys ekonomiczny, który od stycznia prze- żywamy, zredukował do tej nikłej liczby liczną rze- szę naszych kupców i przemysłowców. Brak gotówki w głównej mierze stanął na przeszkodzie do wzięcia udziału w tej drogiej imprezie. A na dobitkę 50% tych, co udział swój w niej wzięli, nie skalkulowało cen i towar swój pozostawiło na boskiej opiece. Wszystko spadło na głowy pana Kiltynowicza i hr. Ostrowskiego. Im też głównie zawdzięczać należy, że pawilony reprezentują się dobrze i że wystawa nie robi wrażeńa czegoś poronionego.

A znaczenie takiej wystawy w kraju tak wybit- nie pozbawionym przemysłu własnego, jak Turcja, ma pod względem gospodarczym i politycznym pierwszo- rzędne znaczenie. Musimy otworzyć sobie nowe ryn- ki zbytu i Turcja będzie pierwszym etapem tego przedsięwzięcia. Przez nią dotrzemy do Persji i Pale- styny, a nawet do Egiptu. Poza tem da to nam moż- ność wzajemnego zapoznania się, egzystująca bo- wiem legenda o sympatjach Turcji dla nas jest tylko legenda. Sułtan wypatrujący przez 150 lat na selam- liku naszego posła i otrzymujący wciąż odpowiedź, że jest nieobecny, albo w drodze zatrzymany, jest bezwątpienia wytworem naszej wyobraźni porozbio- rowej. Żydzi wywożący z Warszawy do Argentyny przez Konstantynopol dziewczęta niesławnie zapisali imię polskie u Turków, nodawali się bowiem za Po- laków. Jakże pogodzić to ostatecznie z niekłą legendą?

Tegoroczne zbliżenie się nasze do Turków, któ-



Ogólny widok nowej stolicy tureckiej — Angory.

rzy po osławionej „kapitulacji” niechętnie patrzą na cudzoziemców, bezwątpienia będzie miało bardzo doniosłe znaczenie polityczne. Nacjonalistycznie odradzająca się Turcja, która dzięki Kemalowi Paszy pozbyła się gospodarujących u siebie cudzoziemców, będąc pozbawioną przemysłu, musi szukać nowych sprzymierzeńców.

Tymi nowymi chcemy być my.

Czy potrafimy, czy nie wysadzi nas konkurencja z zachodem—to pokaże przyszłość. W każdym razie zrobiliśmy pierwszy krok. I ten pierwszy krok wcale nieźle wyglądał.

Raziła mnie trochę usługa rosyjska w restauracji wystawowej, tego jednak podobno nie można było uniknąć ze względu na to, że została ona w Konstantynopolu niemal doszczętnie przez emigrację rosyjską zmonopolizowana.

Z radosnem uczuciem opuszczaliśmy dnia tego teren wystawy, udając się wieczorem na obiad do hotelu. Roztrzęsione auto skakało pod nami i zataczało się groźnie na zakrętach, kiedyśmy wracali do miasta.

Wieczorem tego dnia znowu znaleźliśmy się w kawiarni wystawowej. Przyciągnął nas Bosfor i małe łódki kaikami zwane, które czekały na gości pod werandą kawiarni.

Muzyka grała jakieś melodie wschodnie, a wytworna kelnerka o dużych zalotnych oczach opowiadała nam po rosyjsku przeraźliwą historję swego krótkiego życia. Brata jej, jedyne go ukochanego brata, młodzieńca o bladej twarzy, w bestjałski sposób rozstrzelali bolszewicy. Musiał sobie sam wykopać grób, głęboki dół wykopać w twardej ziemi — on taki niemocny. Drgał jeszcze i krzyczał, charcząc, gdy go zasypywali ziemią.

Przeraźliwa, jak niedobry sen, historja. Duże zielone oczy opowiadającej zachodzą łzami i nabierają jakiegoś dzikiego wyrazu. Małe rączki mną serwetkę.

— Trzeci rok mieszkam tu zupełnie sama jedna — mówi w końcu — a kiedy wczoraj usłyszałam wasz piękny język, rozplakałam się, jak dziecko. Przed wielu, wielu laty, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem, ojciec mój mieszkał w Warszawie.

— A co robił ojciec pani w Warszawie? — py-

tam z niechęcią w głosie. Ale jakiś głos kobiety woła ją z głębi kawiarni.

— Katia!

Po chwili już kelnerki naszej nie było przy stole. Siedzimy nad samą wodą. Duży srebrno miedziany księżyc wisi nad Bosforem i od stoja naszych biegnie długi srebrny szlak mieniający się złotem, aż do Skutari.

Mały, zgrabny Turek o dużych błyszczących oczach podjeżdża do nas w małym kaiku. Patrzy nam w oczy, uśmiecha się, pokazując duże białe zęby i zaprasza nas do łódki.

Pojedziemy na Bosfor..

— Panno Katiu, chcemy płacić rachunek.

Panna Katia już zopomniała swoją bolesną historję o bracie, który krzyczał i charczał, gdy go ziemią zasypywali bolszewicy. Uśmiecha się do nas i pyta, dokąd jedziemy. Półzartem mówimy jej, że jedziemy do kabaretu.

Panna Katia z pod spuszczonych powiek patrzy na nas zalotnie.

— W Konstantynopolu jest bardzo dużo kabaretów — mówi półgłosem — są oficjalne w restauracjach są i prywatne w mieszkaniach. Jest taki jeden w Stambule. Tam to i ja bym z wami pojechała, tylko, że tam samo wejście kosztuje 25 funtów.

— Samo wejście? — pytamy zdziwieni.

— Ale zato... — mówi panna Katia i nie kończy, bo ją znowu ktoś z głębi kawiarni woła:

— Katia!

Nie czekamy już jej powrotu i wsiadamy do łódki. Mała łódeczka kręci się pod nogami, przechyla się



Kemal Pasza.

i skacze, mały Turek pokazuje w uśmiechu białe zęby. Po chwili płyniemy srebrną smugą księżycą na środek Bosforu.

Przed nami zasypia w szarym mroku Skutari, za nami błyszczą i huczą tysiącami świateł i głosów Galata. A gdzieś za gęstym lasem masztów, stojących w porcie żaglówek, w blasku lamp łukowych milczy za Złotym Rogiem Stambuł.

Ogarnia nas dziwne uczucie — więc tak wygląda księżycowa noc na Bosforze. Niech nikt nic nie mówi.

Płyniemy w ciszy wielkiej i skupieniu w stronę Czarnego Morza.

Mijamy piękny pałac sułtański Dolma Baheri, ostatnią rezydencję Abdul Hamida. Chcemy go widzieć zbliska i wkrótce jesteśmy tuż przy nim.

Dolma Baheri... Księżyc srebrzy marmurową kolumnę, prósząc roztopione srebro na długie białe ściany zagląda do pustych komnat, gdzie mieszkało 360, czy 240, czy tylko 40 żon sułtana.

Ktoś wbrew umowie przerywa milczenie.

— Jak wszystko przemija!

To prawda... Płyniemy stąd dalej. Znowu słychać plusk wioseł. Dolma Baheri zostaje za nami.

Oba brzegi Bosforu są coraz ciemniejsze, długa, księżycem posrebrzana droga do Azji Mniejszej coraz gładsza. Kaik sunie tak cicho, że nawet plusku wioseł nie słychać.

Gdzieś na lewo daleko nad samą wodą błyszczą światła „Terapii”. Jest to kawiarnia nocna nad Bosforem.

Ale my tam nie pojedziemy. Kaik zawraca, Turek nalega na wiosła. Prąd nas znosi. Znowu powoli zbliża się do nas wyiskrzona tysiącami lamp łukowych Galata i długa weranda naszej kawiarni wystawowej.

Na werandzie pusto. Tylko panna Katia wita nas wymówką:

— A do kabaretu nie pojechaliście.

To prawda, panno Katiu, że nie byliśmy w kabarecie.

EDWARD SŁOŃSKI.

## W O L N E Ż A R T Y

### HUMOR AMERYKAŃSKI.



— Wszystko to pięknie, tylko że ja nie posiadam zegarka. Jakżeż więc się dowiem, że godzina przejażdżki się kończy?

— Nic prostszego, łaskawy panie: łódka napełnia się wodą do wysokości siedzenia w ciągu czterdziestu minut mniej więcej.

JNDGE.

### ZŁOŚLIWIE PODSTĘPNY.

Kontroler wchodząc do przedziału:

— Czy ta dziewczynka ma już pięć lat?

— O nie! Prawda Zosieczko, że masz dopiero cztery.

— W takim razie pani zechce zapłacić za bilet, bo tylko dzieci do trzech lat nie płacą.

### HUMOR FRANCUSKI.



### Zręczny myśliwiec.

A widzisz, że nie zrobiłem mu krzywdy?

CANDIDE.

### ZGORZKNIAŁY MAŻ KSANTYPY.

— Turcy się europeizują... Wiesz postanowili, że wolno mieć tylko po jednej żonie.

— Hm — i to za dużo.

### Z ROZMYŚLAŃ WARSZAWIANKI.

— Ach! po Stachu, to Edek jest moją jedyną i wyłączną miłością.

## ALE CO DZIWNE...

Pan, wracając z podróży:

— Czy nikt nie przychodził podczas mej nieobecności.

Służący:

— Owszem jest jeden pan, ale co dziwne, że pani schowała go do szafy.

## Z DZIEDZINY EKONOMJI POLITYCZNEJ.

— Istotnie rzeczą jest niewątpliwą, że bez pieniędzy niczego nie można robić...

— Owszem — przecież można robić długi.

## GODNOŚĆ PRZEDEWSZYSTKIEM.

— Jeśli pryncypał nie cofnie tego, co powiedział to porzucam pracę.

— A cóż ci powiedział?

— Że mnie wyrzuci za drzwi.

## CZUŁA ŻONECZKA.

— Okazuje się, że stary Walicki zostawił około dziesięciu milionów. Czy chciałabyś być wdową po nim?

— Skarbie ty mój! Wolałabym już być wdową po tobie.

## ODWAGA NIELADA.

Sędzia: Jak daleko pan był od miejsca przestępstwa?

Świadek: Za pierwszym strzałem o 6 metrów, za drugim o jakieś 600, panie sędzio.

## HUMOR FRANCUSKI.



— Zdaje się, że łódka przechyla się na twoją stronę.

— Tak, rzeczywiście: szkoda, że m zabrała Fifi-finkę.

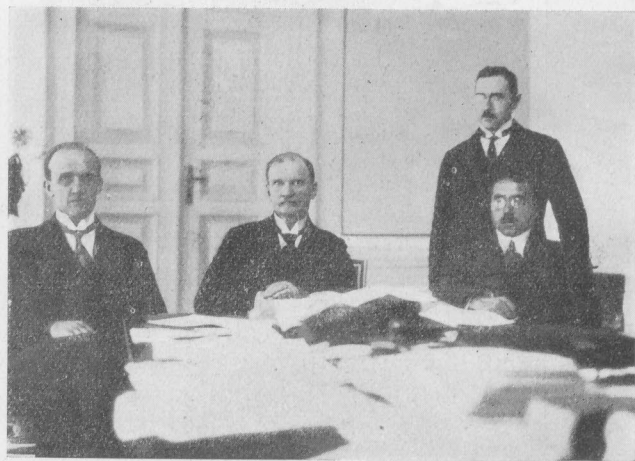
LE JOURNAL AMUSANT.

## C H W I L A B I E Ż A C A



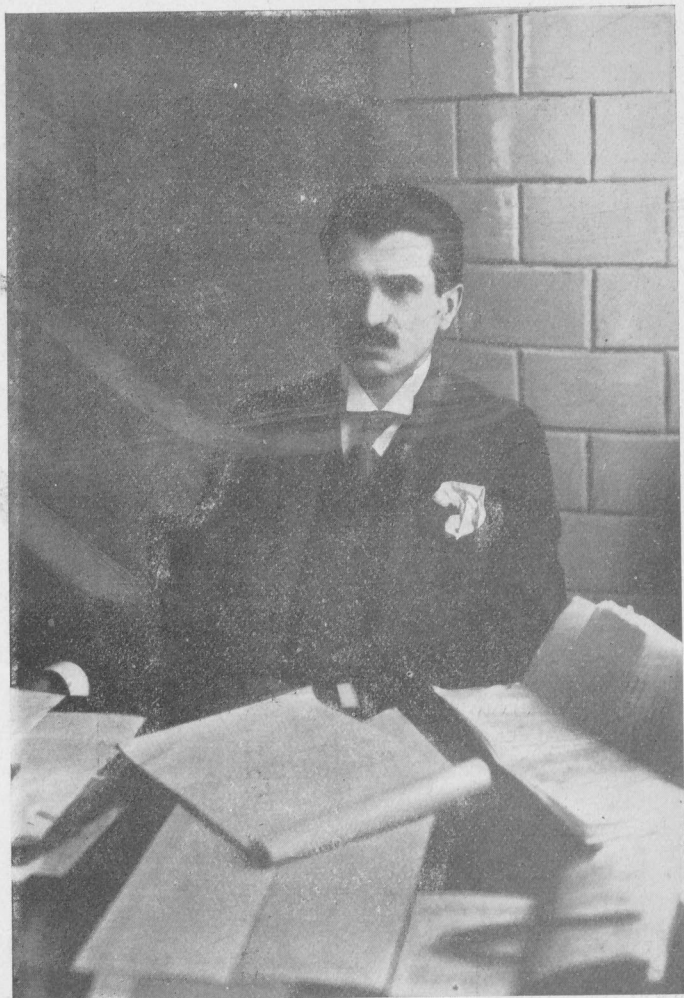
Fot. M. Fuks.

P. prezes ministrów Grabski wygłosił swe exposé na pierwszym posiedzeniu Sejmu po ferjach 22 października. Kluby poselskie zgodnie uznały, że mowa p. premjera nie wyjaśniła przełomu gospodarczego, jaki przeżywamy.



Fot. H. Vlassak.

Członkowie delegacji szwedzkiej do rokowań o traktat handlowy polsko-szwedzki w Warszawie: p. Wennersten, b. minister skarbu i poseł do parlamentu, przewodniczący delegacji Rodhe i poseł nadzwyczajny i nacelnik wydziału w M. S. Zagr. w Sztokholmie, p. Hennings, podsekretarz stanu w M. Handlu. Za nim stoi p. Bagendahl z poselstwa szwedzkiego w Warszawie, sekretarz delegacji.



P. marszałek Sejmu Maciej Rataj.—22 października rozpoczęła się sesja jesienna Sejmu.



P. P. Stanisławski i Sochaniewicz, eksperci polscy od spraw zwrotu zabytków, wśród urzędników poselstwa polskiego w Moskwie, na jutro po wypuszczeniu z więzienia bolszewickiego.

N O W I      W O J E W O D O W I E.



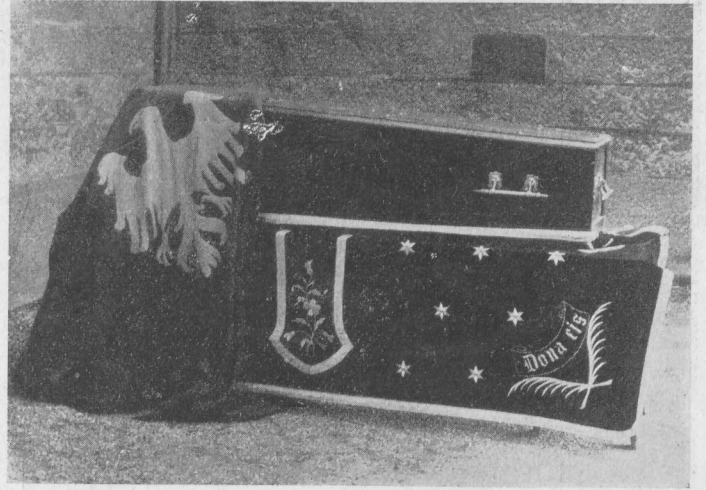
Jenerał brygady Januszajtis Marjan  
wojewoda nowogrodzki



Jenerał broni w stanie spoczynku  
Olszewski Kajetan wojewoda wołyński

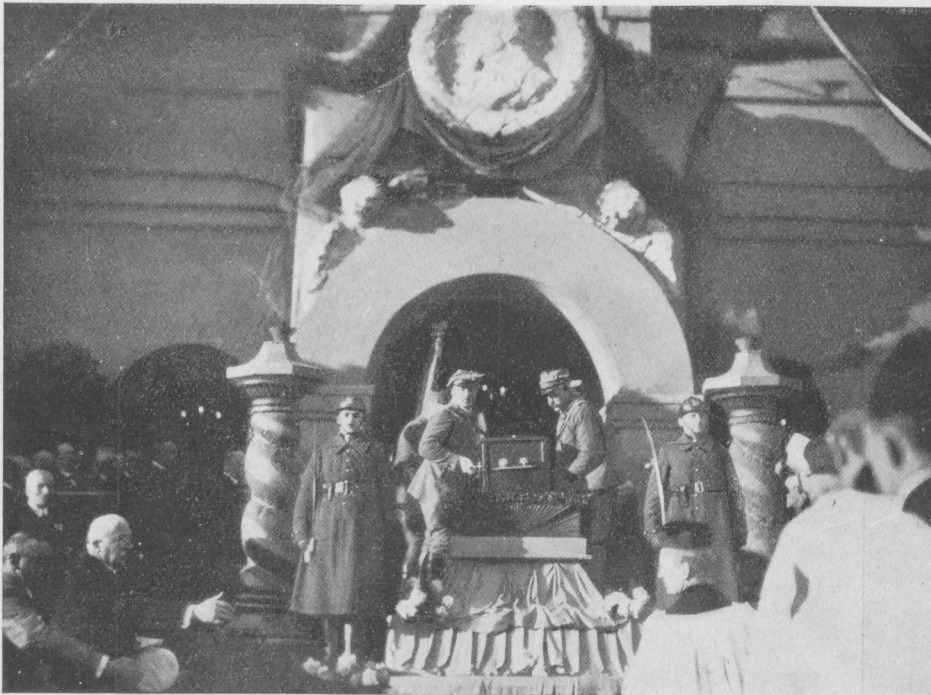


Jenerał brygady Minkiewicz Marjan, dowódca świeżo utworzonego Korpusu Ochrony Pogranicza, który w tych dniach obejmuje granicę w 3 województwach wschodnich.



Fot. M. Fuks.

Trumna ze zwłokami Henryka Sienkiewicza, kirem żałobnym pokryta, w Vevey w Szwajcarji przed wyprawą do kraju.



Z UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWYCH  
HENRYKA SIENKIEWICZA  
w WARSZAWIE.

Na Dworcu Głównym —  
Sokoli wnoszą trumnę  
z kaplicy na dworcu  
na katafalk,  
wzniesiony na placu  
przed dworcem.

W następnym numerze, 4 dalsze zdjęcia z żałobnych uroczystości Sienkiewiczowskich.





Angielski premier R. Mac Donald z pałacu królewskiego z dekretem rozwiązującym parlament udaje się do Izby Gmin.



Ministrowie marokańscy opuszczają pałac sultański. — Na lewo minister Torres, na prawo naczelny minister Rkaina.

Z WALK BOLSZEVIKÓW Z GRUŻJĄ POWSTAŃCZĄ



Atak gazowy oddziałów bolszewickich na stanowiska powstańcze. — Temi i innymi sposobami zdusili bolszewicy powstanie.

# M U S I M Y      B U D O W A Ć

PIENIĄDZ SIĘ USTALIŁ. — USTALAJĄ SIĘ WARUNKI GOSPODARCZE WOGÓLE.

SPRAWA MIESZKANIOWA JEST JEDNĄ Z NAJPILNIEJSZYCH W POLSCE.



I.

DOMY NAM SIĘ WALĄ.

Parę tygodni temu  
zawalił się całkowicie dom,  
obok Żelaznej Bramy  
w Warszawie,  
który tutaj widzimy;  
a wkrótce potem drugi.

II.

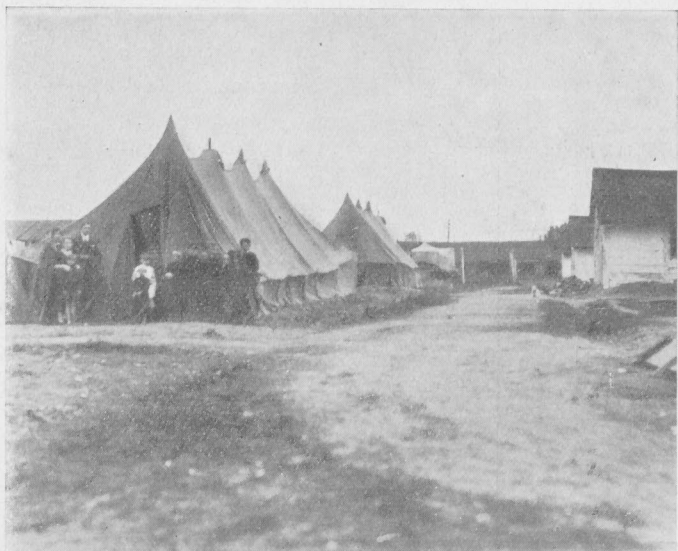
Gdzie mają się podziac mieszkańcy domów, które się już zawaliły lub grożą ruiną?  
Gdzie mają się podziac także i inne rodziny — usunięte z mieszkań wyrokiem sądowym?



Fot. St. Brzozowski.

Oto dzięki zabiegom Oddziału Warszawskiego Czerwonego Krzyża, umieszcza się te rodziny w barakach. Tutaj widzimy szereg blaszanych Oddz. Warszawskiego P. Cz. K., mieszczących się przy szosie Marymonckiej. (Nie podobna jednak ludzi zostawić na zimę w blaszanych barakach i najpierwszą palącą potrzebą jest narazie budowa baraków drewnianych, o co Oddz. Warsz. P. Cz. K. zabiega, wzywając społeczeństwo do pomocy).

III



Część usuniętych rodzin umieścił P. Cz. K. w namiotach (i ci przecież muszą znaleźć inne pomieszczenia na zimę).

IV



Zarząd i pracownicy Oddz. Warsz. P. Cz. K. Siedzą: dyr. p. K. Bąkowski, członkowie p. A. Mencil i p. W. Kozłowska, prezes O. Viator à Mojówka, członkini p. majorowa, K. Dracowa. Stoją: kierownik i pracownicy baraków.

VI

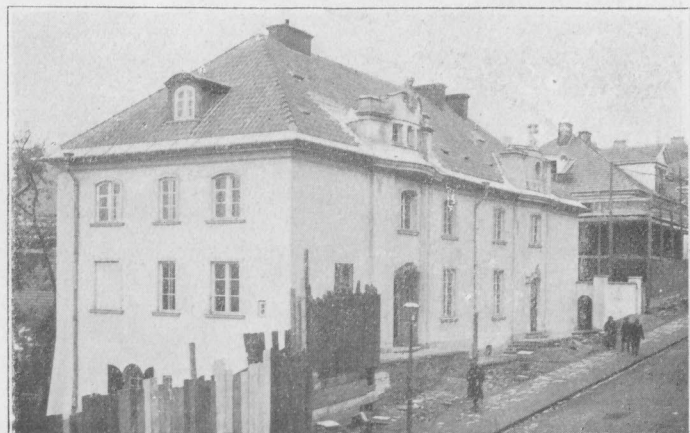
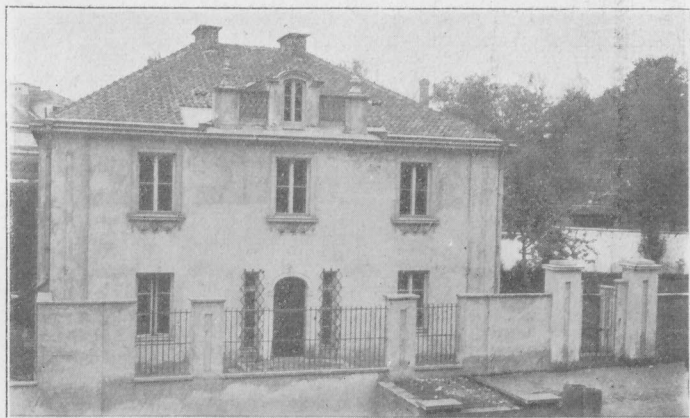
V

BŁOGOSŁAWIENI CI, KTÓRZY BUDUJĄ.



Fot. H. Vlassak

Przynajmniej na ul. Górnośląskiej w Warszawie panuje ożywiony ruch budowlany — Oto kończy się tam budowa dwóch okazałych kamienic prywatnych. — Oczywiście jest to kropla w morzu potrzeb.



Najlepiej robią urzędnicy Na tejsze samej ul. Górnośląskiej, sami budują nieduże wdzięczne domy z ogródkami.



Fot. H. Vlassak.

## VII

Takż*ę* wyglą*ę* cała kolonja  
urzędnicza  
na ul. Górnośląskiej.  
Miło spojrz*ę*ć na te domy  
nowoczesne, rozłożone  
w ogródkach, a wznoszone  
z prawdziwym gustem.  
Buduj*ę*c się, musimy  
się budować pięknie.



Fot. St. Brzozowski.

TEATR MAŁY.—Dwie nowe artystki Teatru Małego,  
panie M. Modzelewska i M. Skalska, w „Szoferze  
Archibaldzie“.



P. Halina Szmolcówna urocza primabalerina  
warszawska wystąpiła w Filharmonji War-  
szawskiej, czaruj*ę*c wdziękami ruchów, mimiki,  
uśmiej*ę*ć, i stroju.



TEATR NARODOWY. Fot. J. Malarski.  
Solski, jako świetny, niezrównany Łatka [w „Dożywociu“  
Fredry i Lindorfówna — wdzięczna Różia.



TEATR MAŁY. Fot. St. Brzozowski.  
M. Maszyński i W. Grabowski w „Szoferze Archibaldzie“.



Fot. filmowa Wytwórni Doświadczalnej.  
Grupa zawodników wyścigów pieszych o mistrzostwo Polski.



Fot. J. Malarski.  
Panna Lindorfówna, jedna z najmłodszych  
artystek Teatru Narodowego.



Fot. filmowa Wytwórni Doświadczalnej.  
P. Szelestowski, zdobywca mistrzostwa Polski w wyścigach  
pieszych.



Młodziutki następca tronu angielskiego, książę Walji nader dba o swój wygląd zewnętrzny. — Jest niemal wyrocznią w sprawach mody męskiej.

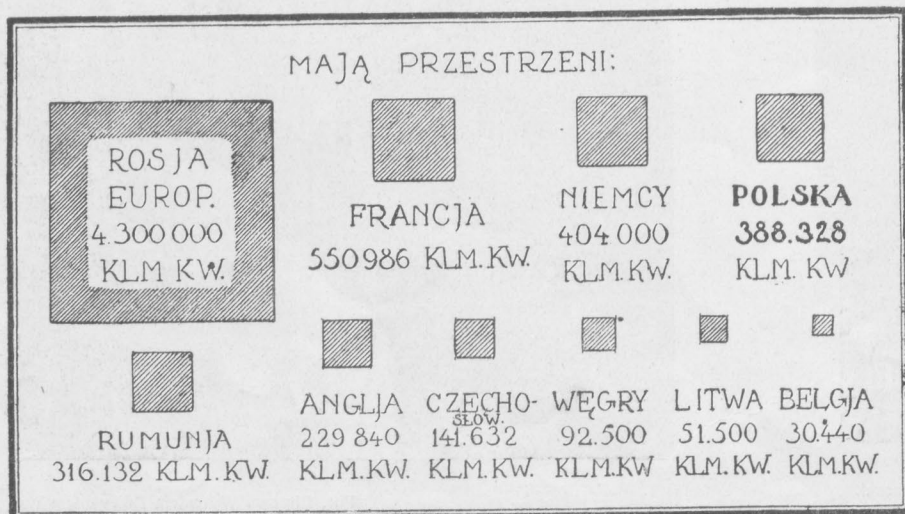


Amazonki amerykańskie z popisów na wystawie angielskiej w Wembley przybywają do Francji.

# R O Z M A I T O Ś C I

## P O Z N A J M Y S I E B I E.

I.



Najlepiej poznajemy własne warunki życia, porównując je z obcemi.

Mamy tutaj oto porównanie przestrzeni Polski z przestrzenią kilku państw innych.

Należy jednak pamiętać, że niektóre państwa, jak Anglja, Francja, nawet Belgja, Holandja, posiadają rozległe kolonie poza krajem macierzystym. — Kolonij na naszym wykresie nie uwzględnialiśmy.

## JAK PISAĆ — JAK MÓWIĆ.

W niniejszej rubryce odpowiadamy na pytania Czytelników „Biesiady“, dotyczące poprawności języka.

POWIAT DROHOBYCZ, POWIAT ŁOWICZ, POWIAT LESZNO.

Niektóre urzędy, zwłaszcza w tych dzielnicach, gdzie bardziej działał wpływ niemiecki, nie mogą się jeszcze otrząsnąć z tego tak obcego sposobu mowy. A z pism urzędowych przechodzą takie zwroty do niektórych dzienników i pism periodycznych. Tym sposobem szerzy się obczyzna niewątpliwa. Po niemiecku nie mówi się inaczej, tylko Provinz Posen, Kreis Łowicz — po polsku zaś tylko i jedynie: województwo poznańskie, powiat łowicki, powiat drohobycki, powiat leszczyński i t. d.

Gdyby kto miał jakie wątpliwości co do tego, to niech zważy, jak mówi na całym obszarze Polski lud nasz, nie uległy wpływom obcym.

Co innego — nazwy gmin. Tych używamy w rzeczowniku. Zatem: gmina Sokolniki, gmina Wawer. Gmina bowiem ujednoznacznia się z wsią; w niektórych dzielnicach każda wieś z osobna istotnie stanowi gminę — więc łatwo mógł się utrzeć ten sposób nazywania.

DOKONALI ROZBROJENIA. ULEGŁ STŁUCZENIU. ÓDNIÓSŁ POPARZENIE. WYMAGANIE PASZPORTU STOSOWANE BĘDZIE.

Takie i tym podobne zwroty nie są to właściwie błędy językowe, lecz są to zwroty brzydkie, rozwlekłe, pompatyczne. Daleko lepiej wyrażać się prosto jednym prostym czasownikiem: rozbroili, stłukł się czy stłukł sobie, poparzył się, paszportu nie będą wymagać.

To styl języka niemieckiego odznacza się owymi zwrotami, rozłożonemi i przez to rozwlekłemi. Natomiast Polacy, których języka nie zepsuły wpływy obce oraz dobrzy pisarze polscy, wyrażają się prostym czasownikiem. Zwrotów rozłożonych używają tylko tam, gdzie są istotnie potrzebne, gdy wyrażają coś innego, niż wyraża prosty czasownik.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

M. MIL. „Sobowtór“ jest tylko suchą relacją z prawdziwego — zapewne — zdarzenia. A jednak zawiera wspaniały temat na humoreskę. Może Pan spróbuj w ten sposób go wyzyskać, porozumiawszy się wprzód z nami, a wtedy umiemy najchętniej.

*Redaktor naczelny: CZESŁAW ROKICKI.*

Czy spełniłeś

swój obowiązek

względem

Inwalidów Wojennych?

**TU I OSZĘDZIE  
UMIEŚCI OGŁOSZENIE  
SOLIDNIE—SZYBRO—TANIO**

**„Z. I. W.“**

**Agencja Wydawniczo-Reklamowa**

Centrala:

**Warszawa, Nowy Świat 50, tel. 291-60.**

Oddziały:

**Białystok, Katowice, Lwów, Łódź  
i Poznań.**

# POLSKI BANK HANDLOWY TOW. AKC.

## Instytucja Centralna w Poznaniu

Zarząd Okręgowy w Katowicach, Rynek 7.

Adres telegraficzny: „Poznabank“ Telefony Nr.: 1662, 2026, i 1835. P. K. . Nr. 300,177.

### Oddziały Górnośląskie:

## K A T O W I C E

**Królewska Huta, Mysłowice, Tarnowskie Góry, Bytom.**

Polski Bank Handlowy w Poznaniu Tow. Akc. powstał w roku 1872 jako Bank Włościański, podejmując w czasie swego założenia skuteczną obronę przeciw bankom niemieckim, opanowującym w zupełności życie gospodarcze b. dzielnicy pruskiej. Po objęciu kierownictwa przez obecnego prezesa D ra Kazimierza Hącię, b. ministra Przemysłu i Handlu, bank ogarniał coraz szersze kręgi w kierunku handlowo-kupieckim, stając się poważną konkurencją potężnych banków niemieckich. Po przejściu Banku Kupiectwa Polskiego rozciągnęła się działalność Polskiego Banku Handlowego na b. Kongresówkę i Małopolskę, przyczyniając się znakomicie do nawiązania ściślejszych stosunków gospodarczych między trzema byłymi zaborami.

Już przed przyłączeniem G. Śląska zakłada Polski Bank Handlowy kilka Oddziałów, przygotowując teren do plebiscytu i starając się nowopowstającemu na tym terenie polskiemu życiu gospodarczemu przyjść z wydatną pomocą. Oddziały w Katowicach, Król. Hucie, Mysłowicach, Tarn. Górach i Bytomiu, w łączności z szeroko rozgałęzioną siecią oddziałów w całej Rzeczypospolitej, oddając społeczeństwu polskiemu na G. Śląsku znaczne usługi. Przeszło 50 lat istnienia Polskiego Banku Handlowego świadczy o jego wartości wewnętrznej a ekspensja gospodarczo inwestycyjna stanowi najdonioślejszą część jego działania z punktu widzenia interesów ogólnie krajowych.

### O T W O C K

Pensjonat P. A. SZTERN ul. Warszawska № 35  
przyjmuję gości przez rok cały. Piękne położenie.  
Wykwintna kuchnia. Hygiena. Komfort.

### O T W O C K

Pensjonat A. ROZENBAND otwarty cały rok.  
Położony na południu wśród lasu, urządony  
według najnowszych wymagań. Ceny przystępne.

## Otwock,

Warszawska 31.

**pensjonat I. Klepfisza i S-ka**

urządzony podług najnowszych wymagań higieny i komfortu

Dom skanalizowany

Tel. № 14. Otwarty cały rok. Tel. № 14.

## O T W O C K

**Pensjonat S. Kaufmana**

Otwarty przez cały rok.

W pięknym położeniu na południu,  
wśród lasu, urządony według naj-  
nowszych wymagań.

Wykwintna kuchnia!

Ceny przystępne!

LEK. - DENT.

**B. WŁADYSŁAW**

O T W O C K

KOŚCIELNA № 8.

### O T W O C K

Pensjonat Hygieniczny otwarty przez cały rok,  
kuchnia wykwintna, ceny przystępne. Vis à vis  
Sanatorium D ra Kukowskiego.